



czterwcowe święto słupskiej kultury



Podziwiam was, drodzy przyjaciele, na co dzień schowani w wioskach i miasteczkach naszego regionu jak w przepastnej torbie. Wasza wrażliwość sprawia, że słyszymy, widzimy, czujemy więcej. To tak jak z mgłami nad Tamizą. Ktoś musiał zobaczyć je w zachwycie pierwszy, by inni dostrzegli urok codziennego pejzażu.

W podslupskiej Kobylnicy z ruchliwą ulicą Główną uczciłam czwartoczerwcowe święto, o które wadzili się prezydent z premierem. Kulturalni: mieszkańcy powiatu słupskiego ze starostą panem Sławomirem Ziemanowiczem oraz z wójtami swych gmin w zgodzie, życzliwości i z radością fetowali VIII Powiatowe Obchody Dni Działacza Kultury. Użyłabym w tym miejscu innego rzeczownika niż działacz, który choć poprawny słowotwórczo, politycznie trąci myszką. Byli wśród nas znani, powszechnie cenieni i szanowani ks. Jan Giriatowicz ze Słupska i ks. kanonik Jerzy Wyrzykowski z Duninowa. Były

ludowo-gminne zespoły muzyczne, nieprofesjonalni poeci, malarze i młode wokalistki. Wszyscy „podskórnie” wrażliwi, niezwykli, widzący świat oczyma i duszą.

Najpierw spotkanie przy tablicy poświęconej Kazimierzowi Herdziej. Nad słowami o Nim - zwykłymi, ciepłymi mimo wrzawy ulicy, pisku opon, a może właśnie przez ten ekstrawagancki akompaniament bardziej znaczącymi - warto się pochylić. Pędzimy do kresu, gdzie tylko cisza i pamięć ocalająca. A nam się czasem wydaje, że mamy już wszystko na wieczność. Mową wiązaną powiedziała o tym Henryka Jurałowicz-Kurzydło, również wierszem piękną chwilę uczciła Emilia Zimnicka.

Przed siedemnastą spotkanie w gościnnej miejscowej szkole. Gospodarze zadbali o zziębniętych mimo czerwca i bezdeszczowej wbrew prognozom pogody gości. Czekwały na nas gorące napoje i gorące barwy obrazów na szkle malowanych Czesława Guita. Autor wśród nich zdawał się być jak cherubin z głową w chmurach... siwych włosów. Nieśmiałym wzrokiem pytał o wrażenia. Wiejskie motywy - niektóre banalne, ale wśród nich perłki: obraz kuźni ze schyloną, kościastą sylwetką kowala na tle infernalnych barw i drugi przedstawiający wiejskie chaty w białoszarej tonacji zbierają pochwały. Jest ich sporo, obrazów i obrazków. W „Liście otwartym” malarza odnajduję pokrewną mi troskę o powszechne zubożenie języka, o wciskające się zewsząd jakieś uogólniające neologizmy znaczeniowe.

Ogólny gwar, rozmowy, okazja do wymiany uprzejmości, uwag i powitań. Mam przyjemność zamienić kilka zdań z panem Klemensem Rudowskim, którego mądre, choć gorzkie w wymowie eseje znam z „Powiatu Słupskiego”; pana Grzegorza Chwieduka z Kępic proszę o przekazanie ukłonów Zosi Derlatce, wspólnej znajomej. Dostaję w prezencie obietnicę zaprosin na promocję następnego tomu wierszy. Tyle ciekawych osób, brak mi odwagi by podejść, zagadnąć. Znalazła się jednak okazja, by poznać wyważone, wnikliwe zdanie pana Piotra Grygiela z Jasienia o ostatnim artykule pana Szczepanika i porozmawiać chwilę z jego piękną utalentowaną plastycznie żoną.

Wreszcie punkt kulminacyjny: wręczenie nagród. Pan Babiarz-Zych z właściwą sobie naturalnością i szczerością rozładowuje napięcie: koperty odebrać będzie można na zakończenie uroczystości. Ten zabieg wynika z troski o frekwencję. Zmienia się atmosfera, czujemy się zwyczajnie, wręcz familiarnie. Nagrodzony „Białym Bocianem” pan Grzegorz Chwieduk mówi o swojej poezji, czyta wiersz o babci, pan Klemens Rudowski, kolejny laureat „Białego Bociana” obdarowuje publiczność muzycznym prezentem. Brawurowy popis gry na akordeonie odsłania kolejny talent laureata. Tak wielkimi darami Bóg obdarza wybranych, lecz czy daje siłę od ich udźwignięcia? Ten to ma, zaprawdę, szczęście! Ostatniego „Białego Bociana” otrzymuje ks. kanonik Jerzy Wyrzykowski z Duninowa, co przyjmujemy z aplauzem wyrażonym gromkimi brawami. O księdzu z Duninowa wiedzą wszyscy, stał się niemal legendą, z podziwem słuchamy o jego inicjatywach na terenie duninowskiej parafii. A ja nie mogę odżałować, że w mojej rodzinnej Objeździe organy milczą od lat. Drogi księżu, najniższy ukłon i wdzięczność!

Kolejne nagrody dla poetów, malarzy, zespołów, animatorów kultury - zapracowane, dające impuls do dalszych działań, utwierdzające w przekonaniu, że dzielenie się sobą, swoim talentem, zapałem ma sens. Dziewczęta z Objazdy: Ola Zawada śpiewająca „Eurydyki” i Ada Kuczun, która wy-

śpiewała „Czarne perfumy” oczarowały widownię. Zorza Sędziaka, opiekunka artystyczna młodych pieśniarek, troszczy się o nie jak mama, zna je przecież od przedszkola. Umiejętnie wprowadza je w świat Kultury, bacząc, by we wszystkim zachować proporcje. Śpiewają pięknie, to fakt bezsporny, a nagrody dla nich zasłużone. Serdecznie wszystkim gratuluję i choć zabrakło mi śmiałości by o tym powiedzieć, mam odwagę, by napisać: Podziwiam was, drodzy przyjaciele, na co dzień schowani w wioskach i miasteczkach naszego regionu jak w przepastnej torbie. Wasza wrażliwość sprawia, że słyszemy, widzimy, czujemy więcej. To tak jak z mgłami nad Tamizą. Ktoś musiał zobaczyć je w zachwycie pierwszy, by inni dostrzegli urok codziennego pejzażu.

Uroczystości towarzyszyły kulinaria w równie artystycznym wydaniu. Gospodarzom należą się podziękowania, dyskretnym reżyserom uroczystości życzenia wytrwałości w promowaniu sztuki i jej twórców. Powrót do codzienności niech będzie z poezji:

*„Na prawo jest mój dom, który znam dookoła
razem z jego schodkami i wejściem do środka,
gdzie dzieją się historie nie namalowane:
kot skacze na ławę,
słońce pada na cynowy dzban,
za stołem siedzi kościsty mężczyzna
i reperuje zegar.”*

(Wisława Szymborska: „Pejzaż”)

I nic nie robię sobie z „wojny na górze”, bo przemienie jak inne właśnie o splendory. Święto ludzi kultury naszego powiatu było piękne: zrodziło się z woli i talentów mieszkańców z mojej okolicy.

Czesława Długoszek, Objazda

list otwarty do działaczy kultury



napisany w RAMACH PROJEKTU pt. „Na wiejską modłę – Lubuń sentymentalny” będącego częścią PROJEKTU pod nazwą „Powiatowe Obchody Dnia Działacza Kultury – czerwiec 2009”

Z dużym zakłopotaniem śledzę zjawisko nasilające się od dobrych paru lat, mocno zakorzeniające się już w kulturze i zagarniające w niej coraz obszerniejsze przestrzenie. To potoczne słowo PROJEKT obłapiające swoimi mackami wszystko i wszystkich, jak Polska długa i szeroka, wypierające i deklansujące coraz intensywniej pojęcia dotychczas czujące się bezpiecznie, dziś słowa biedne, sieroty: inspiracja, inicjatywa, kreacja, inicjacja, projekcja, plan, pomysł i inne. To z ich gromady wypetziło słowo PROJEKT i zrobiło oszołamiącą karierę usurpując sobie prawo do zastępowania innych słów i znaczeń mu nieprzynależnych. Słowo karierowicz – PROJEKT z całą powagą awansowało z papieru podaniowego na ARTYSTYCZNY AFISZ.

Sięgając do łaciny, nie, nie, nie tej z knajackiego sznytu, a do języka łacińskiego, szukam rodowodu słów: inspiracja, inicjować, kreacja, projekt. Znajduję: inspirare – to wpojenie, natchnięcie, wdmuchnięcie; initiare – oznacza zacykanie; a

initatio to wtajemniczenie; creatio – tworzenie, wprowadzanie; proiecto – oznacza wyciągnięcie od proiicere – wyciągać, wyrzucać.

Tak więc od inspiracji przez inicjatywę i kreację doszedłem do projektu, co w rozumnym, ale zrozumiałym tylko nielicznym języku łacińskim oznacza ni mniej ni więcej jak: natchnąć, wdmuchnąć – zacząć, wtajemniczyć – tworzyć, wprowadzić – wyciągnąć, wyrzucić.

Wyżej wymienione źródłosłowie łacińskie ma duże możliwości, kryją się w nim jeszcze inne pochodne słowa, bardzo kreacyjne jak iniekcja, inicjacja, ejakulacja rozumiane jako wstrzyknięcie, wtajemniczenie i... wyrzucenie, ale dam im spokój, bo to domena raczej medyków niż działaczy kultury.

Przyssałem się do źródła i pochodzenia słów, bo słowo PROJEKT przyprawia mnie o frustrację, czuję się niepewnie, tracę pewność siebie i jasność widzenia nosa do tabakiery lub tabakiery do nosa.

Niepokojącą jest sytuacja, w której przygotowuję wystawę, a ta, okazuje się... projektem. Wybieram się na przedstawienie a ono po prostu nim nie jest, bo czymś więcej – jest realizacją projektu.

Podobnie jest z koncertem, występem, robi się śmiesznie i straszno, co najmniej dwuznacznie, a może są to projekty? Sytuacja robi się kłopotliwa, bo sugeruje, że zwykła wystawa, występ, przedstawienie, koncert i co tam jeszcze, to coś mniej niż projekt, a może dużo mniej? Przecież interesować nas powinien efekt projektu a nie on sam, bandyta.

Nie jest dobrze, jeśli dobra kultury wabią nas ku sobie i mienią blaskiem coraz bardziej nie jakimiś pracami, dziełami, spektaklami, inscenizacjami, wydarzeniami, lecz PROJEKTAMI, mając jakąś nadzwyczajnością.

Ja na stare lata zgłupiałem do reszty, bo też dałem się omamić PROJEKTOMANIĄ, ale, ale, nie taki ze mnie głupek okopany w wioszczynie na granicach Gminy i w pogranicznym powiecie Województwa. Rozumiem powody plakatu kariery słowa PROJEKT: jeśli nasze życie kulturalne zdominowała projektomania, to jest to efekt działań wolnego rynku również w kulturze, według najlepszych kapitalistycznych wzorców.

Jako skromny amator sztuki z dala od kulturowego centrum powiatowego nie wspominając o wojewódzkim, SPEŁNIAM, choć nie widzę w tym powodów do chwały, podstawowe kryterium nowoczesnego obywatela będącego składową euronijnej społeczności, której głównym zajęciem stało się

sięwzięcia, po jego legitymizacji podpisać umowę, poczekać cierpliwie na przelanie finansowych środków, wziąć się do roboty i złożyć sprawozdanie z realizacji projektu.

Inaczej się nie da, bo ewentualne środki bywają planowo celowe, a już nie wystarczy powiedzieć, że trzeba sfinansować wystawę malarską, bo ta nikogo nie interesuje – musi być PROJEKT i już. To i ja złożyłem, co ładnie opisane to wygrane: po 10–ciu wystawach, w 10–ciu świetlicach wiejskich (patrz Kronika wystaw i wpisów) na świątecznym Salonie Powiatowego Działacza Kultury 4 czerwca 2009 wystawiam na szkło malowany mój Lubuń – sentymentalnie, oczekując w zamyśle wystawowym reakcji integrujących społeczności wokół środowiska wiejskiego, gospodarskiego, przyrodniczego, ekologicznego, a licząc na szczególną wrażliwość spodziewam się refleksji nad kondycją i wizerunkiem własnym, tajemniczą trwałości i przemijania rzeczy nas otaczających. Kończąc byt wystawowy obrazy jako darowizna zostaną przekazane



wypełnianie wniosków o finansowanie projektów, a zajęciem wtórnym projektów tych konsumowanie. I tak jestem ćwierć obywatelem unijnym, zapomnianą częścią tej chlubnej i wspaniałej grupy społeczeństwa obywatelskiego, która w Lubuniu nie miała, nie ma i w określonej przyszłości nie będzie miała konkretnego łącza internetowego, nie wypominając telefonicznego kabla światłowodowego, bo ten choć wbudowany wszędzie wokół, zatkał się z niewiadomych powodów na rzece Słupi i obrzeżu Krajobrazowego Parku. Podobno chodzi o pieniądze, a raczej ich brak, a jeszcze najpewniej dlatego, że z gminnego... PROJEKTU został wypchnięty lub się w nim po prostu nie znalazł. Mam uciechę, zaczynam się naprawdę cieszyć, bo sięgam powoli po status internetowego analfabety, a jeszcze trochę zagrozi mi analfabetyzm wtórny, co ma tę dobrą stronę, że nie będę konkurentem do składania wniosków do kolejnych PROJEKTÓW wypatrzonych w internecie.

Dziś niestety jest tak, że aby coś zrealizować, zaaranżować i spowodować, a mówiąc rynkowo kupić, wyprodukować i sprzedać należy pozyskać kasę. By ją uzyskać trzeba w odpowiednim wniosku, we właściwym miejscu i właściwemu sponsorowi – łaskawcy opisać i uzasadnić PROJEKT przed-

do Towarzystwa Opieki Paliatywnej – Hospicjum Miłosierdzia Bożego w Słupsku, które w ramach akcji charytatywnej zlicytuje 30 obrazów, by wpływami z licytacji zasilić hospicyjny budżet.

P.S. Po pierwsze: Przywołując łacinę naiwnie liczę, że zostaną zachowane właściwe proporcje między słowem PROJEKT i jego treścią tak jak relacja tabakierki do nosa, a nie odwrotnie. Coś nam się „z przodu wyrzuciło” powodując siłą rzeczy, że coś się nam „od tyłu wdmuchuje”.

Po drugie: Ludzie, piszcie jednak projektowe wnioski, bo inaczej ominie Was szansa na finansowanie przedsięwzięcia. Nie ma innego wyjścia: jak dostaniemy dobrego kopa z tyłu, to nas skutecznie wypchnie do przodu.

Po trzecie: Do napisania listu sprowokował mnie felieton, p. A. Chłopeckiego, krytyka muzycznego, który został zrealizowany w ramach projektu zatytułowanego „Słuchane na ostro” będącego częścią projektu pod nazwą „Gazeta Świąteczna”. Niech żyją projekty.

*Napisał Czesław Guit, Lubuń – maj 2009
aktualnie bez www*

XVI maj nad wilią



Litewscy poeci czekają na kontakt z różnymi naszymi środowiskami, a niestety ciągle na wspólne plenery przyjeżdża ta sama ekipa z tymi samymi „muzami” i jak twierdzą miejscowi literaci, jest po prostu nudno

Impreza organizowana przez Romualda Mieczkowskiego ma swój specyficzny klimat. Oczywiście pobyt w samym Wilnie tętniącym polskością wprowadza nas już w świat ducha, ale to, że poeci przyjeżdżają na własny koszt z całej Europy, stanowi o wspomnianej wyżej specyfice imprezy literackiej.

W tym roku impreza odbyła się już po raz XVI. Przez cały czas towarzyszyła nam ekipa TVP, która przygotowywała nowy program poświęcony kresom. Zaczęliśmy mszą w kościele Franciszkanów. Msza odbyła się w intencji pierwszej rocznicy pierwszej komunii świętej polskich dzieci zamieszkałych w Wilnie. Pięknie było słyszeć śpiewną wileńską mowę polską, gdy dzieci odczytywały intencje. Kościół robi niesamowite wrażenie. Ołtarz na stercie cegieł, konfesjonał to kłęcznik i krzesło przedzielone deską.

W takiej scenerii czytamy wiersze. Dołącza do nas ksiądz Marek Detlaff opiekun świątyni i także poeta. Ten kościół, to najstarszy zabytek sakralny Wilna, jednak jako jeden z trzech - będący nadal w ruinie. Ksiądz Detlaff odbudowuje go praktycznie z datków wiernych. Do tej pory udało się zrobić dach i osuszyć wnętrze. Tyle przez dziesięć lat. Tak więc przywrócenie świątyni do świetności może potrwać w tym tempie kolejne pięćdziesiąt lat. Rząd polski woli w tej chwili nie drażnić Litwinów i dofinansowuje zupełnie inne „budowle”, o czym w dalszej części.

Jeszcze tego samego dnia (niedziela 24 maja) mieliśmy okazję słyszeć wiersze naszych poetów na Skwerze Liubartasa w dzielnicy Zwierzyniec. Imprezę przygotowało polskie środowisko literackie, a była ona poświęcona tym poetom, którzy pracowali w Radiu Wilno. Usłyszeliśmy więc wiersze Miłosza, Bujnickiego i Gałczyńskiego. Na zakończenie zaproszono nas do przeczytania po jednym wierszu. Ciągle marzę o przetłumaczeniu mojego „Kurska” na język rosyjski, dlatego zdecydowałem się na przeczytanie właśnie tego utworu. Jak na razie, to jego najdalej na wschód wysunięta prezentacja. Pierwszy dzień wizyty zakończył wieczorny spacer ulicami Wilna.

Następnego dnia, w poniedziałek 25 maja nastąpiła oficjalna inauguracja Maja. Oczywiście początek to wspólna fotografia wszystkich uczestników pod pomnikiem Mickiewicza umiejscowionym przy kościele św. Anny. Uwagę debiutantów majowej imprezy przykuwało sześć tablic ułożonych w pobliżu pomnika. To ocalałe z wojennej pożogi fragmenty pomnika Mickiewicza, jaki miał się pojawić tuż przed wojną. Płyty przedstawiają sceny z „Pana Tadeusza”. Na trzech sześcianach z takich właśnie płyt miał być umiejscowiony pomnik.

Po zrobieniu wielu grupowych i indywidualnych zdjęć udaliśmy się do Muzeum im. Adama Mickiewicza. Tam zaproszeni goście prezentowali się swoimi utworami. Na początek, jak zwykle debiutanci. I tu po raz pierwszy dowiedziałem się, że Zianon Paźniak - lider Białoruskiego Frontu Narodowego jest także poetą. Oprócz wiersza przeczytanego po białorusku poeta - opozycjonista przedstawił także bardzo ciekawą historię swojego rodzaju

związanego z Wilnem. W muzeum między poetami zasiedli ambasador Polski na Litwie Janusz Skolimowski, konsul generalny RP Stanisław Kargul, a także senator RP Barbara Borys-Damięcka.

Po prezentacji mieliśmy okazję obejrzeć przedstawienie poetyckie Polskiego Studia Teatralnego. Spektakl przeniósł nas w kowieńskie czasy Mickiewicza. Ten dzień był wyjątkowo wyczerpujący, ponieważ po spacerze w kierunku Pałacu Paca, gdzie mieści się nasza ambasada, czekała nas konferencja naukowa - Miasta o trudnych losach, miejsca stracone i odzyskane. W części pierwszej uczestniczyli: dr Rimantas Miknys, dyr. Instytutu Historii Litwy (Wilno); dr Zianon Paźniak, intelektualista, lider Białoruskiego Frontu Narodowego (Warszawa - Nowy Jork); Tomasz Łubieński, pisarz, redaktor naczelny „Nowych Książek” (Warszawa); Pranas Morkus, intelektualista, animator kultury (Wilno) i Romuald Mieczkowski - prowadzenie (Wilno).

Poruszano niełatwą obecnie współpracę z Litwą, ale podkreślano wspólną historię i nieuchronność kulturowego współzycia nie tylko naszych najliczniejszych na tej ziemi nacji. Prelegenci wyraźnie podkreślali, że to ludzie kultury wycyzają szlaki politykom, z których ci ostatni niestety nie chcą skorzystać, stąd ciągłe konflikty i niezadowolenie obu stron.

W części drugiej Birute Jonuskaite, pisarka, wiceprezes Związku Pisarzy Litwy; dr Andrius Konickis, eseista, redaktor naczelny „Naujoji Romuva”, przedstawiciel rosyjskich, białoruskich, żydowskich, tatarskich i karaimskich środowisk kulturalnych Wilna mówili o sytuacji literatów z pozostałych mniejszości narodowych, jakie zamieszkują Litwę. Tę część prowadził dr Józef Szostakowski (Wilno). Czynne było stoisko z książkami uczestników XVI MSP Maj nad Wilią i Wydawnictwa Znad Wili.

W drugiej części najciekawiej mówił Adas Jokubauskas (Jakubowski), Tatar, który zrobił doktorat na UAM w Poznaniu. To od niego dowiedziałem się o intelektualnych dążeniach Tatarów litewskich. Cała nacja ma obecnie tylko ośmiu doktorów, z czego trzech wykształconych w Polsce, a warto tu przypomnieć, że na przykład w armii carskiej służyło 30 generałów tatarskich. W takiej sytuacji trudno nawet o zachowanie języka tatarskiego.

Konferencja zakończyła się bankietem. Mogliśmy poznać dostępne sale pałacu, w którym dopiero się „mebluje” nasza ambasada. Lokalizacja jednak jest zdecydowanie lepsza niż poprzednio.

Trzeci dzień Maja nad Wilią rozpoczęliśmy w Związku Literatów Litwy. Idąc do tej pięknej siedziby mieliśmy okazję poznać byłego prezydenta Litwy Rolandasa Paksasa (odwołanego zresztą za pomocą impeachmentu). U nas raczej trudno spotkać byłego prezydenta w kawiarni około dziesiątej rano. Litewski Związek Literatów urzeka swoją siedzibą. Prezes ma przepiękny gabinet z niesamowitym kominkiem. To po prostu trzeba zobaczyć. Tam można zrozumieć, dlaczego ktoś chce zostać prezesem literatów.



Birute pokazała nam wspaniałe czasopisma promujące miejscowych literatów, pisma specjalnie dla młodych. Przykro mi to pisać, ale w tej kwestii możemy się od Litwinów wiele nauczyć. Jeszcze bardziej smutne jest to, że litewscy poeci czekają na kontakt z różnymi naszymi środowiskami, a niestety ciągle na wspólne plenery przyjeżdża ta sama ekipa z tymi samymi „muzami” i jak twierdzą miejscowi literaci, jest po prostu nudno. A przecież polska poezja to nie tylko przez Wawrzkiwicz i Litwini dobrze o tym wiedzą. Udaje się jednak pokonywać warszawski monopol i w litewskich czasopismach widać mniej znane polskie nazwiska.

Trzeci dzień imprezy, to dzień najpiękniejszy. A powodów było kilka. Pierwszy to krótka wizyta w Belmoncie zwanym kiedyś Francuskim Młynem. Kilka kilometrów za Wilnem. I to też trzeba zobaczyć, opisywanie piękna tego miejsca przekracza moje zdolności. Polecam przy najbliższym pobycie w Wilnie. To połączenie raju z gospodarstwem agroturystycznym. Tak chyba najlepiej można to określić.

W dalszej części naszej eskapady Niemenczyn. Tu wierze prezentowane przez młodzież, ale także przez burmistrza miasta. To nie tylko wspaniały sportowiec (nadal wygrywa



biegi narciarskie), ale także okazjonalny poeta. Finał dnia to majówka nad Wilią w miejscowości Baran. W zasadzie jest to gospodarstwo agroturystyczne. Miejscowe potrawy, akompaniament okolicznego zespołu ludowego i dyskusje o poezji, próby nawiązywania kontaktów, wywiady dla TVP. Do hotelu wróciliśmy zmęczeni, ale to nie przeszkodziło jeszcze nocnym rozmowom w hotelowym barze.

Czwarty dzień imprezy zaczął się od zwiedzania Muzeum Narodowego, które mieści się tuż przy polskiej galerii „Znad Wili”. Po obiedzie długi spacer na Rossę. Prowadzi miejscowy poeta Wojciech Piotrowicz, który jest wspaniałym przewodnikiem. Oczywiście tradycyjnie zaczynamy od grobu z sercem Piłsudskiego. Potem aleja artystów, Syrokomla, Wiwulski, Karpiński, Ciurlonis. Oczywiście nie może zabraknąć fotografii ze słynnym aniołem, potem Lelewel. Blisko siebie ojciec i ojczym Słowackiego.

Z cmentarza spieszymy na śród literacką w Celi Konrada. Oczywiście to już nie są te spotkania w oryginalnej celi, jakie odbywały się w latach międzywojennych lub dziewięćdziesiątych zeszłego wieku. Czytamy na schodach cerkwi unickiej im. św. Trójcy.

Wieczorem pożegnalny bankiet w polskiej galerii.

To jednak nie koniec atrakcji. Jako że autobusy z Wilna do Gdańska jeżdżą tylko co drugi dzień, niektórzy musieli przedłużyć swój pobyt aż do piątku. Dzięki temu mogliśmy wziąć udział w imprezie, którą nazwano „Otwarcie Celi Konrada”. Miejscowi polscy działacze nazwali to „Otwarcie chlewika” i ze łzami w oczach opowiadali o zawłaszczaniu polskich pamiątek przez Litwinów.

Sprawa wygląda tak. Naszym władzom nie udało się przekonać ormiańskiego właściciela hotelu, by ocalił celę. Budynek klasztoru zostały zamienione na hotel. Na jednym z korytarzy ocalała uszkodzona oryginalna tablica informująca, że tu umarł Gustaw, a narodził się Konrad. Tylko nieliczni mieli okazję tego dnia obejrzeć to miejsce i dotknąć tablicy „na szczęście”. Nasze władze doprowadziły po negocjacjach z Litwinami i właścicielami hotelu do otwarcia „symbolicznej” celi Konrada. W małym budynku umieszczono kopię tablicy, z monitora dobiegają strofy „Pan Tadeusza” recytowane przez litewskiego aktora (napisy tłumaczą na język polski). Za drzwiami, przez małą szybkę możemy obserwować więzienną „celę Konrada” wykonaną ponoć na podstawie rysunku Tomasza Zana, który był więziony z Mickiewiczem, a rysunek celi przekazał w gypsie.

I to jest ta kontrowersja. Symboliczna cęla w „Chlewiku”, gdy kilkanaście metrów obok jest prawdziwe miejsce więzienia naszego wieszca. Henryk Sosnowski - przewodniczący rady redakcyjnej kwartalnika naukowego „W kręgu kultury” publicznie nazwał to skurwysyństwem.

Oficjalnie jednak było cacy. Z naszej strony ambasador, konsul generalny, wiceminister kultury i profesor Pieniążek - dyrektor Muzeum Literatury w Warszawie. Ze strony litewskiej wiceminister kultury. Wśród oficjeli także właściciele hotelu. Jedyni bez krawatów, w bezgustownych spodniach i marynarkach okazali swój stosunek do sprawy tak bardzo gorącej dla Polaków z Wilna. Trochę żałosne. Moja obecność była tam przypadkowa (przedłużony pobyt). Henryk Sosnowski przyszedł zaprotestować i wyjaśnić zebrany, o co tak naprawdę chodzi. Polskie środowisko literackie Wilna zbojkotowało tę uroczystość. Było sporo młodzieży, myślałem, że to jakieś miejscowe polskie gimnazjum przybyło przeprowadzone przez swoich nauczycieli. Okazało się, że oczywiście było to gimnazjum, ale z Krakowa. Była to więc uroczystość tylko dla tych, którzy przecinali wstęgę i bez wyrzutów sumienia wrócili do Polski.

I taki to był tegoroczny Maj nad Wilią „wzbogacony” o dodatkowy punkt dla tych, którzy zostali. Oczywiście w indywidualnych spacerach nie zabrakło Ostrej Bramy, katedry, obrazu przedstawiającego widzenie św. Faustyny, Pałacu Prezydenckiego, uniwersytetu im. Batorego.

Wilno nie jest już polskie, ale też nie jest do końca litewskie. Litewski, polski, angielski, rosyjski, niemiecki, idisz ciągle daje się słyszeć na ulicach. I niechaj tak zostanie.

Mieczkowski uczy Wilna poetów, których los rozrzucił po całym świecie. Oferuje coraz lepsze warunki pobytu, a poeci przybywają i nikt nie myśli o honorariach. Dobrze jest raz do roku nawdychać się Wilna i przez resztę dni tęsknić za miastem, które śmiało można było przed wojną nazwać centrum polskiej kultury. Kiedyś usłyszałem, że Wilno będzie piękniejsza od Krakowa. I ja w to wierzę.

Jerzy Frykowski, Dębica Kaszubska

Poeci Grzegorzowi Chwiedukowi z Kępic wyrazy szczerzego współczucia z powodu śmierci Ojca składają koledzy z Grupy Wtorkowe Spotkania Literackie, „Powiatu Słupskiego” oraz „Wsi Tworzącej”.

mistrz pióra



Wielcy poeci walczyli o lepszy świat, o ludzką godność, o przetrwanie myśli w strofach. Co wyraża poezja Wiesława Stanisława Ciesielskiego, słupskiego poety, krytyka literackiego, laureata wielu prestiżowych nagród?



Każdy z nas, sięgając po wiersze, wyczytuje w nich trochę własnego życia. W poezji W. Ciesielskiego odnajduję wiele osobistych refleksji. Nie jestem interpretatorem filozofii myśli, jednakże Kocham te strofy pełne realizmu, gdzie dochodzi do „reanimacji złudzeń”. Złudzenia przecież są w pewnym sensie marzeniem. Nikt przecież nam nie obiecywał beztrudnego życia, nikt nie mówił, że będzie łatwo. Tak jest z poezją Wiesława Ciesielskiego, który potrafi okiełznać metafizyczny świat i umiejętnie pojednać go z rzeczywistością.

W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku odbył się jubileusz naszego mistrza, związany z 50. rocznicą jego urodzin oraz 30-leciem pracy twórczej. Prezydent Maciej Kobyliński wręczył jubilatowi Nagrodę Prezydenta Miasta. Należy zaznaczyć, że Wiesław Stanisław Ciesielski otrzymał w kwietniu tego roku Nagrodę Światowego Dnia Poezji, ustanowioną przez UNESCO, za całokształt twórczości. Jest to niezwykle prestiżowa nagroda i cieszymy się, że to właśnie słupski poeta otrzymał wyróżnienie. Całość imprezy prowadził Daniel Klusek, skupiając się nie tyle na interpretacji wierszy poety, co na jego życiu. Pan Wiesław w swoim życiorysie miał przygodę z kabaretem, nosząc pseudonim Docent. Jest absolwentem Technikum Mechanicznego w Słupsku. Debiutował w 1978 roku na łamach „Głosu Pomorza”. Czyli, nasz dziennik regionalny dostrzega i umiejętnie promuje wielkich tego miasta.

W. Ciesielski opublikował wiele tomików poezji m.in.: „Głód” (1986), „Kraina milczenia” (1989), „Mężczyzna światłoczuły” (2001), „Przepowiednia czasu mego” (2008). Imprezę jubileuszową połączono z promocją książki pt. „Wiesław Stanisław Ciesielski: biobibliografia” z cyklu Sylwetki Pisarzy Słupskich, wydaną przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich z okazji półwiecza autora. Publikacja zawiera nie tylko biogram poety, ale również wybrane wiersze oraz recenzje kolejnych tomów.

Osobiście, ucieszyła mnie obecność młodzieży na widowiu. Byli to słupscy harcerze, zastuchani licealiści oraz studenci Akademii Pomorskiej w Słupsku. Nie zabrakło rodzini p. Wiesława, przedstawicieli Słupskiego Związku Literatów, Starostwa Powiatowego, Caritasu oraz Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Poeta przykłada ogromną wagę do wprowadzania młodych ludzi w tajniki tworzenia wierszy. W ciągu ostatnich lat wyszło spod jego ręki kilkunastu debiutantów, w tym Daniel Odija, Eleonora Kroczyńska, Katarzyna Brzóska. W. Ciesielski prowadzi pocztę literacką na portalu: www.literaci.eu. Jego poezja jest dostępna w Bałtyckiej Bibliotece Cyfrowej: www.bibliotekacyfrowa.eu. Cieszy fakt, iż młodzież jest zainteresowana poezją. Wrażliwi młodzi ludzie kryją w swoich domowych archiwach wiele własnych nieokreślonych myśli, zamykając je w strofach. Myślę, że „wygadanie” się w wierszu traktują częstokroć, jak swego rodzaju modlitwę. Pan Ciesielski, prowadząc otwarty portal literacki zachęca młodych ludzi do dzielenia się tymi myślami.

Część artystyczną jubileuszu uświetniła młodzież z Teatru „Rondo” oraz z Państwowej Szkoły Muzycznej w Słupsku z nauczycielem Przemkiem Osińskim z teje szkoły i Tadeuszem Piczem z Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica. Młodzi artyści dali niezwykle popis talentu. Kulminacją imprezy była pieśń w wykonaniu Eleonory Kroczyńskiej, która z niezwykłą delikatnością przedstawiła muzyczną interpretację wiersza poety „Zacieranie krajobrazu”. Należy przypomnieć, iż Eleonora nagrała płytę „Moja historia”, której pomysłodawcą i autorem tekstów jest Wiesław Ciesielski. Na zakończenie imprezy wniesiono ogromny tort w kształcie książki, wykonany przez mistrzów w piekarni p. Lewny.

Danuta Sroka

Miejska Biblioteka Publiczna w Słupsku
dansrok@gmail.com



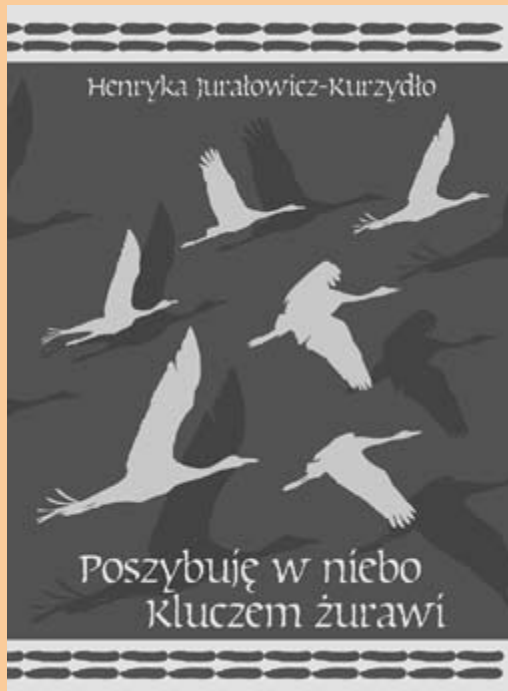
Naiwna wiara w wieczne bycie dzieckiem przenika niedawno wydany tomik Henryki Jurałowicz-Kurzydło pt. „Poszybuję w niebo kluczem żurawi”. Autorka spogląda niewinnie w stronę „światła życia”, chce chłonąć jego przestrzeń, chce pragnąć coraz bardziej. Ale czy faktycznie optymistyczna wymowa tomiku sąsiaduje z całkowitym spełnieniem się podmiotu lirycznego? Na to pytanie z pewnością odpowiedziałaby nam analiza tekstów literackich z punktu widzenia jungowskiej „psychologii głębi”

o którym chlebie...

Koncepcja wiary w siebie potwierdzona w wielu wierszach poetki, pozwala zaufać sprawczym aktom mowy rzucanym w powietrze przez podmiot liryczny. W powietrzu krążą gdzieś słowa: „Że uwierzę w możliwe.../ To co nie jest możliwe...” („Moja mała wieś”). Rytualizacja tych „faktów mowy” sprawia, że poezja Jurałowicz przesiąknięta jest tęsknotą za wiecznym optymizmem. Ale kontrastowość tych dwóch wersów, stanowiących centrum poetyckiej refleksji, stanowi jednak węzeł gordyjski „poetyckiej duszy”. Już na samym początku tomu natknąć się możemy na problem „łatwości” słów, które stają się zbyt trudne. Za trudne by je wypowiedzieć...

Poetka próba translacji słów o mocy sprawczej, z jednej sfery – profanum na drugą – sacrum, zawodzi. Stajemy więc przed problemem niewłaściwej identyfikacji aktów mowy z samą sytuacją mówienia. Sprawdźmy co odpowiada nam na to poetka...

W innych wierszach postawa zakrytej tajemnicy ujawnionej nagle przez los wyjaśniona jest w „metafizyce przejścia”. W wierszu „Dla Marii” odczytać można słowa: „Mówiłaś... niemożliwe”. Czy życie jest niemożliwością? Czy jest nią śmierć,



przepastna nicłość, wchłaniająca w siebie naszą najbliższą przestrzeń? Śmierć, która staje się możliwa, jest jednocześnie śmiercią nieoswojoną, pojemnikiem bez dna, czarną dziurą wszechświata. Co jest więc na ziemi możliwe, a co nie? Słowa: „Bo ledwie tędy przeszłaś” to wers skrywający w sobie nicłość. Życie jest „byciem w niebyciu”, łagodnym uspokojeniem w wędrówce, ale dokąd?

Nasza poetycka wędrówka rozpoczyna się i kończy na przecuciu niezrozumienia przez podmiot liryczny istnienia bytu i jego nagłego zatracenia. Poetka, krzyżując ze sobą warstwy, toczącego się życia, z jednocześnie próbą odczytania tajemnicy świata, spycha podmiot liryczny na krawędź życia. Zadaje pytania o teraźniejszość, wybiegając w przyszłość, która za każdą chwilą urzeczywistnia się w postaci obrazów poetyckiego wzruszenia. Mówią o tym opisy przy-

rody kształtowane na wzór obrazów księdza Twardowskiego, kąpiące panteizmem, manifestujące wszechobecność wielkiego stwórcy w małych „mikrostworzeniach” natury. Odczuć to możemy chociażby w wierszu pt. „Wielkanoc II”. Ta radość od-

ciąg dalszy na str. 11

wiersze najnowsze

Grzegorz Chwieduk, Kępice

OPTYMIZM

Wygnać wszystkie czarne myśli,
Nie skarżyć się na swój los,
Wygrać ten życiowy wyścig,
Cieszyć się, że śpiewa kos.

Podrzucać wysoko w górę
Synka, gdy tego zechce,
Pocieszać markotną córę,
Kupować róże żoncie.

Optymizm niechaj się szerzy,
Niech uszczęśliwia ludzi,
On przecież bliźniutko leży,
Dotknij go, gdy się zbudzisz.

WKRÓTCE ŚLUB

Nigdy nie była pięknoscią,
Jej głos brzmiał ironicznie,
Popisywała się złością
I stąpała komicznie.

Pomoc od niej otrzymałem,
To stało się przypadkiem,
Gdy ciężko zachorowałem,
Zastąpiła mi matkę.

Samotny jak ja kawaler
Został uratowany,
Z Izą żyje się wspaniale.
Jesteśmy zakochani.

REFLEKSJE WYKOŁOWANEJ

Przystojniak perfidny strasznie,
Choć miał tak niewinną twarz,
To przez jego uśmiech właśnie
Dałam się nabrać nieraz.

Zapewniał o swej miłości
Przy pomocy barwnych słów,
A było w nim niewierności
Tyle co w stu dzikach kłów.

Powtarzał, że bardzo kocha,
Że ze mną chce tylko żyć,
Teraz się muszę wyszłochać,
By niespełnienie zabić.

moja babcia Emilia była jednym
wielkim chrześcijańskim
przykazaniem.

uczyła mnie jak się przeżegnać.
jak odmówić Ojczy nasz i Zdrowaś

Maryjo.

prowadziła do kościoła.
miała rozumne oczy
jasny uśmiech
i naznaczoną życiowym
doświadczeniem twarz.
moja babcia nigdy nie obawiała się
co kto o niej komu
gdzie i kiedy powie.

Emilia Maraškiewicz, Darłowo

NA PLAŻY

otulona płaszczem zachodu
siedzę na plaży
z kwiatami kasztanowca w dłoni
łagodną bryzę wplatom
w warkocze latawca

po klawiaturze fal
biegnę do brzegu
rozkołysanym
tęsknym spojrzeniem
piosenki szantowe śpiewam
w muszlach twoich stóp

przed naszym zamkiem
na mokrym piasku
gałązką słonej piany
maluję dla ciebie
szkarłatną różę

CZEMU?

czemu w tej ciszy słyszę to coś
to czego nikt nie słyszy

czemu w mroku widzę to coś
to czego nikt nie widzi

czemu noc jest taka miętka taka czarna
kto i na jakich zmełł ją żarnach

czemu pocieszam ten płaczący deszcz
ten deszcz którego nikt nie pocieszysz

czemu śmierć jest taka uparta taka głucha
że niczyich prośb nie słuchata i nie słucha

czemu krakanie wron bije w żałobne
dzwony
a żałobne dzwony nie dzwonią
skowronkami

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

DAJCIE MI UWIERZYĆ W LUDZI

Dzień po urodzeniu Marii, i dzień po śmierci
Cypriana; to rocznice, mało znaczące
dla robaków, chodzących i fruujących.

O Mario w kwiecistym ogrodzie ciszy,
coż mam ci powiedzieć, nie mogę przejść
na drugą stronę rzeki, tam Cyprian rysuje
ołtarz życia na trawie, liczy kamienie
i liście na drzewach, błagam was, nie piszcie
wierszy o Polsce, kraina naszych ojców
pod zaborem – jak za waszych czasów...

Wysłupiała się nadzieja z rąk świętych,
puste kielichy i toasty bez sensu, w nadmiarze
koloru szarego i porzuconego przez wiatr.

- Chcę napisać wesoły wiersz, o Marii
Konopnickiej, o Cyprianie Kamiliu
Norwidzie;
jakaś wstęga jałmużny zbiera się w niebie,
nie mam już czasu na drodze zamkniętej,
za horyzontem nuci dziecko białego bluesa,
trochę fałszuje, dyrygent schował się w
trzcinie,
rechoczą żaby w południe, ksiądz spowiada.

24.05.2009 - Ustka

ZADBAJ O MNIE W JEDNĄ NOC

Pościelę ci ulubione miejsce. Wiem gdzie
chowasz
szyszki jesienią, jak dobra wiewiórka na
zimę.

Mam dla ciebie starą podkowę. Jeszcze
pozostałości
po ułanach Wojciecha Kossaka. Maluje
i w tej chwili.

Wiesz co, zadбай o mnie w jedną noc.
Wybierz porę,
może być bez księżycy, i tak znajdę cię
w akacjach.

Najpierw cię rozbiore z wiersza. Staniesz
naga
przy ognisku, rozpalimy uczucia, by oddać
co mamy.

25.05.2009 – Ustka

Anna Maria Różańska, Gęłźnia Mała

PROŚBA O OCALENIE

Zachowaj Panie
Smukłą talię lasu
Skąty ostrą rzeźbę
I potoku rzeźkość

Przechowaj na wieki
Ptaków lot podniebny
Wzgórza garb wyniosły
Krokusów polanę
Aby kiedyś mogli
Śladami Świętego
Ponieść swoje krzyże
W horyzontu kosmos
Maluczcy i wielcy
Kochający bardzo albo mniej kochani
Ludzie umysłu i duszy
Swych marzeń uporem wzmocnieni
Ochroń od zagłady
Płatki polnych kwiatów
Wiatru beztroskiego powiew
Korzenie naszej wiary

Kwiecień 2009

Ptaki w hełmach się uniosły
W zrywie tamtej krwawej wiosny

Otrzeptały z pyłu skrzydła
Odetchnęły z ptasią ulgą
I zaczęły kwilić cicho
O pociskach między ciszą

Gniazdach zostawionych wczoraj
Bez opieki
Bez nadziei
Niechże żal swój wydobędą
Z dołów między szynelami

Ogłuszone skąpą ulgą
Cios bagnetu dzielnie zniosły

A katyńskie brzozy
Wciąż szumią elegię
O tych
Co zbiorowo
Poprzez obozy i groby
(Ale bez cienia lęku)
Do nieba bez kolejki poszły

Ordery rozdane
Pamięć nie umarła
Śpię dziś spokojnie

Są tam więc
Nareszcie

Kwiecień 2009

Marcin Zitterman, Sulęcyno

NA DNIE OCEANU

W głębiach ciemności
Światłość jak fala
Płynie

Mrok odkrył szarość
Związał noc z cieniem
Podwodnego świata

Cisza

Harmonijny spokój
Nieznane dotąd życie

Piaszczysty grunt

Korzenie żywej rafy
Głębią bez dna

Mieczysław Andrzej Szrejder, Budowo

MAGIA WIOSNY

Lasy się zielenią, łąki są ukwiecone
Pola zaorane, zboża już wysiane
Kluczem żurawie lecą...

Bociany stąpają przy stawie
Żaby uciekają rechocząc w trawie
A ja... Ja idę na spacer z...
(fotograficznym)... aparatem

Podziwiam świat zmysłami, robię także
zdjęcia
przyrodzie...
...w „rajskim ogrodzie”...

Z radością ogłasza ziemia natura
... iż nastąpiła pora radosna
W ogrodach ziemi nastąpiła Wiosna

DWA AKTY

Aktualnie pamiętam to do dziś
W najmniejszym szczególe...

Były dwa akty
Miłości i milczenia...

Niepowtarzalny i wieczny
Pełen rozkoszy, ale jednak przekłety

Jako nasza słodka tajemnica
Do grobu zostanie wzięty...

Wtem nastanie głucha cisza
Będę mógł spać spokojnie...

Emilia Zimnicka, Izębica

TROSKA

Kto Cię kocha w świecie Polsko
Kto Ciebie szanuje
Gdy przy Twych granicach
Dwa sępy czatują
I czekają na Twą klęskę
Na żer na padlinę tego

Przeszłość świadkiem była
Miałas przecież zginąć
Nie było Cię moja ziemi
Już na mapie świata
Zaginęłaś jak proch mamy
Długie, długie lata
Odrodziłaś się jak Feniks
Do życia od nowa
Znów zcały się dwa sępy
Szarpać Cię gotowe
Nie ma także wśród mych braci
Zgody i jedności
Strzeż się, strzeż mój drogi kraju
Nie utrac wolności
Niech cudowne nasze pola
Zbożem zafalują
Śpiewem ptaków
Słońca złotem
Ludzie się radują

LUBIĘ BŁADZIĆ

Lubię bładzić... Wśród lasu
Bo wiem... że północ
Mchy na korze pokaże
Lubię bładzić
Ścieżką wśród trzcin jeziornych
Odurzona zapachem mięty, tataraku
Bo wiem, że nad wodę
Czy łąkę
Zaprowadzi mnie krzyk
Błotnych ptaków
Nie lubię chodzić sama ulicami miasta
Bo wiem, że w załomie muru
W bramie
Kryje się zły człowiek
Ubrany w czarny płaszcz
Zła i nocy
O oczach, które nienawidzą
I kłamią

(E. Zimnicka została Wicemistrzem
w XXVIII Międzynarodowego Konkursu Poezji
i VII Mistrzostw Polski - Szukamy Talentów Wsi
w Wąglanach – Bałaczowie.)

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

CO PRZYNIOSŁAŚ

Wiosno wiosno co przyniosłaś
o poranku – chłodnej rosy
błękit nieba słońca wiatry
i ptaków wesołe głosy.

A bez deszczu moja droga
nie do twarzy ci zupełnie
zieleniny która wzeszła
już bez wody schnie i więdnie.

Przyślij proszę do nas chmury
z życiodajnym rześkim deszczem
ulżyj ptakom i przyrodzie
wyzbij się kapryśków wreszcie.

Za słońeczko chłodną rosę
za śpiew ptaków wiatr wesoly
dziękujemy ci stokrotnie
bądź łaskawa daj nam wody.

UGÓR

Pamiętam rosło tu żyto
kłosami falowało
kąpane w strugach deszczu
ze słońcem igrało.

Potem to pole porosła
sosna samosiejka
pochłaniała po kawałku
niczym złodziejka.

Drwiła z dziewanny
dziurawca żamowca
myślała że będzie
tu panią do końca.

Ktoś się złakomił
na unijne dotacje
wykupił pole
zaczął „reformację”.

Ciężkim sprzętem wyrwał
jesienią sosnę
poorał ogromne
bruzdy na wiosnę.

Nic się nowego
nie działo dwa lata
zielsko i sona
zaczęło wyrastać.

Bieleje tyse pole
nic tu nie rośnie
nie ma śladu
po zielsku i sośnie.

Unia sypnęła groszem
pewnie za mało
spalić trucizną pole
za nią się udało.

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

SPADEK

Spadek
to dla dziadka jest przypadek
bo wychował dzieci troje
i podzielił dobra swoje
dał synowi swą chałupę
dwa hektary ziemi ornej
bo tam dzieci było kupę
swojej córce dał w posagu
cztery morgi ale sadu
drugi syn co sobie mieszkał w mieście
dostał auto i tysięcy aż dwieście

a co ojcu dały dzieci
utrzymanie aż do śmierci
emeryturę oddasz swoją
będziesz bawił dzieci moje
zasmucił się więc dziadek
ale nie był to wypadek
nie mieć grosza to na dziada
nawet zrobić nie wypada
więc my damy też w posadku
poszedł z domu stary dziadku

teraz dziadek w ZUS-ie
a emeryturę
to listonosz mu przyniesie

Anna Boguszczevska, Słupsk

SŁOWIŃSKIE WYBRZEŻE

Słowińskie wybrzeże
To piękny skrawek ziemi
To osobliwa kraina
Wody piasku i wiatru

To morze
malowane słońcem
przypaszone tęsknotą
rozkołysane wiatrem
co
wdziera się w głąb lądu

To wiatr
niczym smutna melodia
od wieków snujący się
nad złotym piaskiem
i szmaragdową wodą
co
unosi
na rozpostartych skrzydłach
białe mewy

To wydmy
ukołysane szumem morza
wyrzeźbione wiatrem
wygrzane słońcem
skrywają w sobie bogactwo
surowego nadmorskiego klimatu

Morski piasek
zapach słonej wody
niesione powiewem wiatru
pobudzają zmysły
i czarują subtelnym urokiem natury
Słowińskiego Wybrzeża

WIDZIAŁAM WIATR

Bezwietrzny majowy dzień
Rowiański kurort w słońcu łśni
Na nowo świat pomalowała wiosna
Od świtu szybują mewy

A jeszcze wczoraj
Widziałam
wzburzone morze
pełne fal
Widziałam
kutry zdążające do portu
przed burzą

Widziałam wiatr
jak łamie konary drzew
Widziałam wiatr
jak ciągnie za sobą tumany piasku
Widziałam wiatr
co wzmacnia morza śpiew
Widziałam wiatr
o zmroku i o brzasku

Jak po nocy przychodzi dzień
Tak po burzy morze wycisza się
Odwieczne żywioły
woda i wiatr
tańczą
odkąd istnieje świat

Irena Peszkin, Koszalin

TRZEBA IŚĆ

Poprzez pustynie
skwarów zabójczych
i burz,
co bezlitośnie
piachem w oczy –
iść nieraz trzeba
z bagażem
rozmiarów nieziemskich,
bo nawet,
anioł najmocniejszy
rady by nie dał.

Iść trzeba dalej,
jak wielbłąd z jukami
i wierzyć, że ciężar
łżejszym się wyda,
choć
przybywa doświadczeń,
piach łzy ostatnie
wyciska
i żadnej oazy nie widać.

Wanda Majewicz-Kulon, Bytów

STAROŚĆ

Widziałam starość
W Domu Opieki Społecznej
Skurczoną we dwoje
O włosach siwych
Tak siwych jak jej oddech
Na twarzy szarej
Jak zgrzebne płótno
Pełzał smutek
Usta wygięte jak do uśmiechu

Skrywały ból samotności
Łzy jeszcze nie wyschły
Drżały na rzęsach
Gasnącą iskrą nadziei

Widziałam porzucona starość
Jak bezużyteczny mebel
Jeszcze wczoraj prowadziła
Wnuki do przedszkola

Dzisiaj już wnuki wyrosły

Marcin Greczuk, Widzino

DRUGA STRONA MEDALU

Skoro są dane,
jeśli powiedziane:
prawa dziecka,
dlaczego nie mówić:
lewa dziecka?
Przecież lewych dzieci
coraz więcej na świecie...
I bywają naprawdę lewe,
już konta i pieniądze,
z nieprawego łóża, niejasnego
pochodzenia.
Rzec by można:
lewostronne.
Skazane,
znaczone jak fałszywe karty
w nieuczciwej grze
o życie...
Wiecie. Widzicie, wierzycie?
I co?

Skoro są dane,
dlaczego są przemilczane
fakty tak bolesne?
Dlaczego krzywdę rodzą

skrzywdzone
matki nieszczęście potencjalnych?
Krzykliwe frazesy
niczego nie rozwiązują,
są tylko pokarmem dla gawiedzi
spragnionej igrzysk.
Ulotny hałas sensoryjnych wieści –
bełkot bez treści –
szum, a potem cisza...
Czas na spokój sumienia...
I pora na medale.
Ktoś widział. Ktoś krzyczał.
Odebrał ktoś poród.
(Porody się odbiera, a nie odbiera się życia).

Przybyło cierpienia –
jest powód istnienia
kolejnej Fundacji Chorych na Altruizm,
ale..

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

MATCZYNE ŁZY

Z serca płynąca lawa
Otula bezpieczeństwem
Kiedy troska
Bywa przekleństwem
Bezradność co kłuje ostrzem
I skrywa smutek nocy
Oddech wstrzymuje blade lico
Zroszonej łzami niemocy
By w słońca blasku
Nadziei szal założyć
Przytulić do piersi
Dłoń na policzku położyć
I jak balsamem smarować
Najszczerszą maść zaufania
Nawet gdy świat się śmieje
I szepczą cienie: mania!

Nie Tobie takie przeszkody
Nie taki ból klamrą ściska
Kiedy czujesz pod sercem
Roźlaka jest już bliska
Nie tobie straszny huragan
Co szarpie myśli wszelakie
Łzy szczęścia i rozpacz
Matczyne są jednakie

Jan Wanago, Wrześnica

FRASZKI NOWE

Pomoc życiowa

Czym jest płacz i śmiech? Nie muszę
tego kryć,
Bo tak jedno jak i drugie pomaga ludziom żyć.

Taka młodość

Jacy starzy – taka młodość – jasne jak na
dłoni,
A przecież jabłko pada blisko przy jabłoni.

Śmierć

Śmierć naturalna – to śmierć ze starości,
Zaś śmierć młodości – to Stwórcze
niedoskonałości.

Sąd

O ile żem godnie zasłużył – i mam być
z martwychwstały
Stawiam taki wanek: że mam być tylko
sobą plus zdrowy i cały.

Kultura

Często w życiu bywa tak, że kulturalnemu
kultury brak,
A jeśli i taki dowód namacalny – że ktoś
się nie zna na kulturze a jest kulturalny?

o którym chlebie... - ciąg dalszy ze str. 7

krywania wielkiego świata łączy się z pradawnymi wierzeniami pogańskimi. Projekcja upływającego czasu zderza się z wiecznym trwaniem w jedno universum, życie biegnące strumieniem, do którego dołączają inne dopływy. Wizja wiecznego gaju pogańskiego to obraz trwały o tyle, o ile zatrzymany jest w pamięci pokoleń. Trwamy tak samo, jak wcześniej trwali inni ludzie. Dlatego las staje się świątynią wieczności jak w wierszu pt. „Las nadmorski”.

Takie samo mieszanie dwóch przestrzeni sacrum i profanum dostrzec można w wierszu pt. „Wiejski różaniec”. „Dusza przyrody” uotożsamiana jest z wielokrotnie wypowiedzaną modlitwą. Natura staje się ustami człowieka. Szepce więc najciszej jak potrafi swą modlitwę jarzębina i róża („w polu ci nie diament nie kryształ / do modlitwy posłuży / lecz paciorki jarzębiny i tej polnej róży”). Symbolem modlitwy wędrującej w górę do Boga jest też zapach spalanego kadzidła („ognisk kadzidła płyną w nieba granice”). Teologiczne rozważania miewa natomiast „wiatr”. Prośba do Boga krąży w powietrzu w postaci cząsteczek niezrozumiałej dla nikogo tajemnicy. Unia człowieka i przyrody zawarta w chwili stworzenia jest

możliwością zrozumienia ładu świata. Bóg, kreator świata i człowieka, zsyła również śmierć. I tu modlitwa „w śmierci godzinie” jest symbolicznym słowem amen.

W peregrynacji po chleb, duchowy pokarm, dochodzimy do źródła poetyckiej refleksji. Znajdujemy dom, stojący pośrodku natury, a może z naturą graniczący. Domem jest więc łan zboża podszyty „martwym płacem”. Chwytamy go garściami, jak te „kłosy chleba” z wiersza „Słupskie pola”. Ten chleb jest naszym duchowym pokarmem...

O którym chlebie pisze więc poetka? Opowiada ona o chlebie codziennym, o chlebie naszym, o chlebie który jest częścią naszej przeszłości, o chlebie zamkniętym we wspomnieniach.

„Kłosy chleba” rosną więc przy drodze. Kłosy przekwitają, to znów rodzą się nowe. O kłosach trzeba mówić, trzeba pisać, bo kłosy nie zapomną...

Anna Łozowska, Słupsk

H. Jurałowicz-Kurzydło, „Poszybuję w niebo kluczem żurawi”,
Starostwo Powiatowe, Słupsk 2008

cieszyć się... dzień po dniu



Życie Agnieszki Dul to historia walki z „więzieniem ciała”, to znaczy z porażeniem mózgowym o nietypowej postaci pozapiramidowej. Biografia tej bohaterki rozwinięta została przez nią samą w wydanej niedawno w Krakowie w 2008 roku książce pt. „Cieszę się życiem”

Historia jej losu nie jest jednak zapisem banalnym. To próba zmierzenia się ze swoją przeszłością, próba uświadomienia sobie jak bardzo zmieniło się jej życie, gdy wspólnie z ukochaną matką rozpoczęła ustawiczną pracę nad sobą. Z prostoty przedstawienia a jednocześnie z dystansu do świata wynika złożoność emocjonalna jej osoby. Agnieszka ceni w ludziach wartości, a nie to jak wyglądają, co robią. Sama kieruje się wartościami, które wpoili jej, w procesie wychowania, rodzice. Tworząc poezję, otwiera nowy rozdział swojego życia, bramy do własnego świata. W ten sposób pozwala „czytać siebie” innym.

Otwierając książkę Agnieszki Dul już na pierwszej stronie możemy natknąć się na słowa: „Cieszę się życiem...” Tytuł ten doskonale rozszyfrowała we wstępie do tego „pamiętnika” Anna Dymna. Wprowadziła czytelnika w świat pani Agnieszki, wskazując na dwie „pokrywy życia” Agnieszki jako osoby niepełnosprawnej – „pokrywę” zewnętrzną, którą stanowią nieartykułowane dźwięki, niezdefiniowane zachowania, i „warstwę wewnętrzną”, którą stanowią uczucia, emocje, głębokie pragnienia osoby, która jest dokładnie taka sama jak wszyscy dokoła. Tę konfrontację przedstawiła Anna Dymna jako nieustanne próby przewycięzania siebie, przekraczania granic, aby dotrzeć do świata, który cieszy.

O problemie „dotknięcia życia” i pozyskania w nie wiary pisze Agnieszka Dul już w pierwszym rozdziale książki pt. „Urodziłam się...” Opisuje ona skrupulatnie walkę jej małego organizmu z chorobą, proces rehabilitacji, pierwsze próby raczkowania, które nie przychodziły jej tak łatwo jak jej bliźniaczej siostrze. Agnieszka musiała nauczyć się samotności i radzenia sobie z nią, musiała uświadomić sobie, że rozłączenie z ukochaną rodziną to jedyny sposób, by móc poddać się pierwszym próbom rehabilitacji.

Agnieszka Dul nieustannie staje przed problemem trwania, bycia w świecie. Chce przeniknąć tajemnice życia. Bolesnie odczuwa niesprawiedliwość świata. Jej zapis niemalże „pamiętnikarski”, pozwala spojrzeć na życie w całkiem inny sposób. Świat nie jest tylko projekcją czasowo-przestrzenną, która nas z wszech stron otacza. Świat jest również w nas. Jest naszą częścią. O tej relacji pisze dalej w swoim dzienniku Agnieszka. Wspomina też życie w czasach socjalizmu i podczas stanu wojennego, które dla osób niepełnosprawnych i ich

rodziców nie było takie łatwe jak dziś. Jednocześnie autorka dziennika podkreśla, że temat niepełnosprawności w dobie komunizmu był tematem tabu. Zepchnięci na margines przez system niepełnosprawni nie byli brani pod uwagę. „Dziennik” staje się więc w ten sposób historią wszystkich osób niepełnosprawnych dyskryminowanych przez system, a losy pani Agnieszki to egzemplum z tamtych czasów.

Agnieszka Dul „niekonwencjonalnie” postrzega świat. Wychowana została w rodzinie dla której najważniejsze są wartości moralne. Jej choroba nauczyła ją, że należy patrzeć na świat z innej perspektywy. Konfrontacja bliskość – oddalenie jest u niej dobrze widoczna. Jej życie jest paradoksem, który bazuje na zasadzie – co jest daleko, jest łatwiejsze do osiągnięcia, co jest blisko jest trudniejsze do zdobycia. To z pewnością rezultat jej długotrwałej rehabilitacji, na której efekt czekać trzeba było lata.

Agnieszka wspomina też bliskich jej sercu ludzi, którzy odeszli. W ten sposób dziennik ten staje się również historią życia innych osób ściśle z nią związanych. „Pamiętnik” ten jest również pełen metafizycznych rozważań nad przemijaniem, nad kruchością ludzkiej egzystencji a jednocześnie pytaniem o to, dlaczego życie danego człowieka w pewnym momencie kończy się, podczas gdy inne trwa nadal. Te rozważania Agnieszki wpływają również na kształtowanie się jej wizji świata, który odczytać i rozszyfrować możemy w „Dziennikach...” Jednocześnie jako czytelnicy możemy zdać sobie sprawę, że punkt, z jakiego ogląda ona świat, nie różni się od punktu widzenia i postrzegania otoczenia każdego z nas. Z tym że ma ona życie cięższe, bo granicą jest dla niej niedowład ciała. My tę granicę

przekraczamy nieświadomie, ona przekracza ją codziennie, zdając sobie dokładnie z tego sprawę.

Z „literackiego” punktu widzenia „Dziennik...” ten zasługuje na szczególną uwagę ze względu na prostotę i prawdziwość opisu świata Agnieszki. Wizja przestrzeni, czasu i miejsc, a przede wszystkim losu bohaterki nie jest wizją do końca fatalistyczną. Agnieszka nieustannie, z dnia na dzień próbuje pokonać deterministyczne wizje życia osoby z niedowładem. Walczy codziennie ze swoim ciałem, nie pozwalając na zniewolenie przez nie swojego umysłu. Zapis jej walki staje się tak naprawdę opowieścią dnia codziennego. Agnieszka jest osobą, która pragnie poszerzać horyzonty poznawanego świata.

Czy teraz jesteśmy w stanie odpowiedzieć na pytanie: co według Agnieszki Dul oznaczają słowa „Cieszę się życiem...”? Po przeczytaniu jej książki każdy powinien rozważyć je w samotności. Bo znaczyć mogą one dla każdego co innego. Co oznaczają dla niej, wie tylko ona...

Anna Łozowska, Słupsk

A. Dul, „Cieszę się życiem”, Wydawnictwo Salwator, Kraków 2008.



4 maja 1988 (środa)

Dwa razy dotknąłem urzędową ramą osobę nad wyraz szanowaną przeze mnie w dwóch tytułach: „List otwarty do Józefa Łobodowskiego” i „Fundusz Józefa Łobodowskiego”, i jeden list prywatny, drogą okrężną, przez redakcję „Tydzień Polski” w Londynie – na który to list nie otrzymałem odpowiedzi. Nie gniewam się. Zresztą do tego jestem tu na Zachodzie, przyzwyczajony. Co by nie mówić o tym człowieku, to rozmach felietonisty był górnołotny. Nad podziw pamięć doskonała i rzadka nadludzka miłość do stron wschodnich – inaczej Kresami zwanymi.

roku. Cholernie przypominają one moją sytuację. Ja diabelnie nie cierpiełem szkół. A już majowy czas był dla mnie torturą. Też kickałem po tych ważnych małych instytucjach. Kim ja to bym nie mógł być. Mam w swoim życiorysie rozpoczęte Technikum Mleczarskie we Wrześni i Technikum Mechaniczne na Wiśniowej w Warszawie, i Technikum Budowlane na Górnośląskiej – też w Warszawie, i Studium Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego na Emilii Plater – także w Warszawie. Dziś w zasięgu mam siedem zawodów wolnych; tak się to nazywa. Jestem po prostu wolnym człowiekiem. O to mi przez całe dotychczasowe życie chodziło.

Co do samego Andrzeja Bursy, to ojca swego kochał i

poszarpane struny emigracji

Mój Boże, kiedyś wyrwało mi się zdanie w księgarni polskiej w Wiedniu: Póki Łobodowski ukazuje się na ostatniej stronie, ja ten „Tydzień Polski” kupuję, a jak... Przepraszam, ale taka jest prawda. Bo co jak co, to ja dzięki niemu uczyłem się prawdziwej historii – tej mało popularnej w krajowych warunkach, i jakże mało znanej.

Proszę przyjrzeć się tym artykułom. Zaleciłbym każdemu czytelnikowi ostatnią stronę tego tygodnika wklejać do kroniki prywatnego zbioru. Niech inne, następne pokolenia, głodne wiedzy o swoim kraju, dokształcają się kryształową prawdą – podawaną przez wybitnego człowieka, jakim był Józef Łobodowski.


Zebrało mi się na „rozmowę” z Józefem. Odszedłeś z chorej emigracji do życia wiecznego. Tam spotkasz przyjaciół, którzy na ciebie czekają. I ja tam pójdę – zajdę na pewno; tam porozmawiamy wreszcie o wolnościach! To życie, od którego odskoczyłeś jak konik polny, nie przysporzyło ci znośnej satysfakcji. Gdzieś w Madrycie zostawiłeś swój czas, gdzieś urwaliłeś w którymś miejscu liści szept. Drzewa oliwkowe na gorącej ziemi, przypominały ci wierny krajobraz polskich wierzb. Czasem zapłakałeś po kryjomu – tak normalnie jak zdarza się to człowiekowi. Ech, co będzie z tym światem Polonii? Boję się nowych przywódców, pisarzy, działaczy, patriotów... Pewnie (pająk wschodu) szykuje nowe postacie pajęczyn; Polacy szybko zmieniają swoją twarz... Tylko wytrwali

szanował. Kto był i jest tak wierny w obecnych czasach – w momencie kiedy ojciec jego nie jest z nim na co dzień po rozkładzie małżeńskim z jego matką? Fakt, ojciec Andrzeja musiał zachować maksymalny spokój po takich wояżach syna. Ten jego optymizm – zagubiony w jakiś sposób zresztą – mógłby przewrócić niejednego betonowy pomnik, a co dopiero żywą, odbierającą istotę.

Z lektury tych listów mogłem się dowiedzieć, jak ciężko było Bursie zadebiutować, a później kontynuować swoje publikacje. Najczęściej ginęły mu niektóre utwory. Te straty powiększają konto Bursy, bo nie przykładał znaczenia – sam gubiąc czy rozdając, jak reklamę z ręki. Przez to i straciła literatura... Ten jego upór bycia poetą można uczciwie podziwiać. Piękną metaforę zakreślił do ojca, bogatą w swej słusznej pewności: „Jestem uzbrojony w pancerz nie fałszywej megalomanii, lecz rzetelnego poczucia własnej wartości tak gruby, że mało mnie obchodzi co inni myślą o mnie”. A że czuł, że potrafi zostać Słowackim XX wieku, to chyba dobrze świadczyło o jego sile i talencie.

On był pokorny, bo poeta nie może takim być. Jego wewnętrzny wulkan musi żarzyć się non stop. Te dusze nie mogą być lizuskami słodko-wonnego powietrza. Pisanie o motylkach ma być zakreślone – jakby to nie skrzydła motyla a orła. Szybki refleks intelektualny w krótkiej formie. Tylko taki wiersz przeżyje epoki. Andrzej w liście do ojca pisze tak: „Złożyć kilka rymów na temat tzw. „obojętny” potrafi każdy kulturalniejszy polonista. Ale pisać tendencyjnie, na 102 tendencyjnie, a jednocześnie wyśrubować jak najwyższy poziom artystyczny, na to trzeba być poetą”.

Ojciec Andrzeja na pewno na swój sposób cierpieł. Tyle lawi-



Dziennik, który pisałem w Wiedniu, nie będzie tu przedstawiony według kolejności dat, po prostu wyrywkowo będę przedstawiał kopię tych zapisów, dla mnie literata i publicysty ważnych, bo mówiących o życiu pisarzy na emigracji

jak ty, Józefie na posterunku do ostatnich minut modlą się o Polskę, o ten piękny kraj, o te Kresy wschodnie – które nie są już twoje, moje, ani nasze!

26 lipca 1989 (środa)

Zwykle dobrze mi idzie czytanie książek czy pism literackich. Dzisiaj, zafatwiając pewne służbowe sprawy, wziąłem się za „Listy Andrzeja Bursy do ojca”, opublikowane we fragmentach w lubelskim kwartalniku „Akcent” nr 3 (33) z 1988

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

WYSTRZĘBIONE KORYTO RZEKI

Pamięci Andrzeja Bursy

*Przechodzę po nierównym polu,
maki milczą od środka, choć kolor
czerwony widzi rozpędzona jaskółka.*

*Bez przygotowania gra mi Andrzej
kilka wstawek muzycznych, iskrzą się
struny w słońcu jak pantofelki panienki.*

*Za zakrętem stoi drewniana chatupa,
zmęczony żuraw odpoczywa po łowach,
a ściemisko cieszy się wolnością.*

*Wiejska dziewczka za franką stoi naga,
poeta przeszedł zatroskany o wiersz,
a ja często wracam do śladów dzieciństwa.*

28.05.2009 - Ustka

ny o swoim życiowym powołaniu syna – które dla ojca nie było żadnym gwarantem, iż poezja mogłaby być jakąś przyzwoitą przyszłością. Sam na urzędowym stanowisku widział i syna w jakimś charakterze „zakwaszonego biurokraty”. Andrzejowi udało się coś takiego, ale o zupełnie innym profilu. Przyjęto go do „Dziennika Polskiego”. W tejsze redakcji mógł przeżywać właściwą satysfakcję. Nie brakowało mu wiary. Bo sam wiedział, iż tylko wiara doprowadza do sukcesów.

Gdybym mógł być słyszalny, nie omieszkałbym pocie Andrzejowi przypomnieć jego słowa: Nie ugnij się cudowny czarnowłosy / Choćby cię co dzień w mordę walił świat obłędny / Wyrzutkiem społeczeństwa bądź, ale bądź dumny / Nie zmień nigdy ni jednej nuty w twojej pieśni. / Być dumny, to cecha wielkich ludzi.

Dlatego Andrzej Bursa takim był do końca.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka



Przeczytałam z wielką uwagą artykuł „Czytanie sprawia mi radość” pana Andrzeja Szczepanika w elektronicznym wydaniu „Wiś Tworzącej” nr 2(37)/2009, ponieważ papierowa wersja nie dotarła do mnie jeszcze i może nie dotrze. Cieszę się, podobnie jak pan z Bytowa, każdym numerem „Powiatu Słupskiego” i czytam z ciekawością artykuły, opinie i utwory wspaniałych autorów, wspaniałych bo piszących nie dla mamony, nie dla sławy, bo cóż to za słowa - powiatowa



„stos twórczego kompostu?”

Piszących jak miemam z potrzeby rozmowy, z konieczności ucieczki od samotności w wiejskim lub małomiasteczkowym środowisku, gdzie często o takich jak my nie mówi się wcale, bo czytelników „Powiat” nie ma wielu z przyczyn oczywistych lub mówi się, jak zauważyła Anna Karwowska z Dobieszewka w wierszu „Pisarka” („Powiat Słupski” - „Wiś Tworząca” nr 1-2/2009, str. 9), tak: „i znów powiedzą / (przepraszam) - „pierdolona pisarka”.

Pozwoli pan, panie Andrzeju (przepraszam za poufałość), że zgodzę się raczej z autorką cytowanego wcześniej wiersza, która w konkluzji stwierdza, też posługując się cytatem: „marny pisarz w ludzkość wnosi / więcej niż kilku uczonych” niż z pana opinią o stosie kompostu, na którym prawdopodobnie nic nie urosnie. Owo prawdopodobnie to, jak odczytuję, asekuracja na wypadek, gdyby jednak urosło? Formuła Wtorkowych Spotkań Literackich, w których kilka razy uczestniczy-

łam, pozwala wysnuć taki właśnie, pozytywny wniosek. Spotykają się ludzie różnego wieku, różnych zawodów z różnych środowisk. Łączy ich jedno: chęć wypowiedzi mową związaną o sprawach własnych lub uznanych za własne. Poszukiwania materii słowa odpowiedniej do tematu to wysiłek twórczy, który trzeba uszanować choćby dlatego, że jest w opozycji do coraz częściej spotykanej bylejakości języka. Owa bylejakość rodzi się w nas, gdy pozwalamy sobie na lenistwo, brak rzetelności w mowie, w czytaniu i w relacjach z innymi. Rodzi się wtedy, gdy przelatujemy nad sprawami, gdy uznajemy za prawdę coś, co się nam tylko wydaje, że jest prawdą.

Pan Andrzej Szczepanik złożył mi skórę za wypowiedź o wierszu pani Henryki Jurałowicz-Kurzydło. Zwykle krytykę przyjmuję z pokorą, tak byłoby i tym razem, gdyby krytykujący był rzetelny. Panie Andrzeju, oto moje uwagi pod adresem felietonu „Czytanie sprawia mi radość”: Po pierwsze:

Wypowiedź, do której się pan odwołuje, została zatytułowana „Spotkanie ze szczerym, czującym człowiekiem”. Zgadza się z panem, że pani Jurałowicz-Kurzydło jest czarującą osobą, ale nie o tym pisałam. Nawiasem mówiąc, proponowany przeze mnie tytuł był inny, tytuł obecny pochodzi od redakcji i jest fragmentem zdania z końcowej części artykułu. Po drugie: Ma pan rację, w takiej formie jak pan cytuje, zdanie o omawianym wierszu nie ma sensu. Wierzyć mi się nie chciało, że napisałam taką bzdurę. Nie miałabym pretensji, gdyby przytoczył pan zdanie bez cudzysłowu, pomyślałabym, tak ktoś to tak zrozumiał bądź nie zrozumiał. Jednak pan tę wypowiedź ujął w cudzysłów, a przytaczanie cudzych zdań wymaga rzetelności i odpowiedzialności. Zdanie z mojej wypowiedzi ma taką postać: „Rym, niezależny od układów składniowych, przynależny wersom, wiąże odrębne części składniowo - semantyczne”. Dalej powinno być: „Dzięki temu wypowiedź liryczna jest spójna rytmicznie, znaczeniowo i emocjonalnie”. Skoro pan nie rozumiał, spróbuję wyjaśnić. Zdanie nie zawsze pokrywa się z wersem, a ten w wierszu najważniejszy. Autorka nie pisała wiersza stroficznego, wiersz buduje z cząstek o różnej ilości i długości wersów. W tym

wypadku zdanie „Sprawdzić jak dziurawe wiadro rankiem w studni podzwania witając się z zimną wodą” zyskało walor rytmiczny dzięki podziałowi na trzy wersy wyodrębnione spacją od pozostałych i wiąże się z następnym zdaniem (o bocianie), podobnie zrytmizowanym, w całość jednorodną znaczeniowo i składniowo (zdania złożone, podzielone na wersy równoważne z frazami) właśnie przy pomocy - między innymi - rymów, np. podzwania / bociana. Po trzecie: Ma pan rację. Pani Teresa Nowak pisze świetnie, też lubię ją czytać. Ale to chyba dobrze, że piszemy „po swojemu”. Po czwarte: Ma rację pan Babiarski - Zych, kiedy zachęca nas do czytania. Dodałabym do uważnego czytania. Trochę się na niego złościłam, że zachęca nas jak dzieci, ale prowadzi grupę od lat i wie, co mówi, teraz w to wierzę. Po piąte. Cenię pana pisanie, czytam pana artykuły i mam nadzieję na wzajemność.

Myślę, że nasze pisanie to nie tylko stos twórczego kompostu. Myślę, że pisanie każdego z nas, pana nie wyłączając, to część naszego istnienia i zaistnienia, również dla siebie. Odkrywamy przecież siebie w innych i odwrotnie. Nie tylko na Olimpie, również w Dobieszewku, Bytowie, Objeździe...

Czesława Długoszek, Objazda

melchior wańkowicz na kaszubach

Kłęczno to urokliwa, sympatyczna wieś turystyczna, w gminie Studzienice, w powiecie bytowskim. Otoczona mieszanymi lasami pełnymi wąwozów, stoków porośniętych brzoźowymi zagajnikami, bagien i jezior. Początki wsi sięgają XV wieku. Zasiedlona przez ludność kaszubską zaślęta, szczególnie w okresie międzywojennym, z walki o polskość. Kłęczno jest rodową siedzibą pokoleń Szroederów, zamieszkujących tu od wieków. Antoni Szroeder, ojciec Stanisława zginął w 1943 roku ścięty przez Niemców za patriotyczną postawę i sprzeciw wobec okupantów.

Obecny senior rodu, pan Stanisław Szroeder, mieszka w Kłęcznie wraz z małżonką Felicją, wywodzącą się ze znanego z patriotycznych czynów rodu Styp-Rekowskich. Tu w 1953 roku rozpoczął pracę jako nauczyciel w czteroklasowej szkole wiejskiej. Do dziś mówią o nim jego dawni uczniowie – „nasz szkolny”. Pan Stanisław, znany i szanowany działacz społeczny, muzykujący kulturoznawca, historyk, pomimo podeszłego wieku cieszy się nadal uznaniem i rozgłosem. Posiada rzeszę znajomych i przyjaciół, w kraju i za granicą. W zorganizowanej przed laty Izbie Pamięci przechowuje spłowiaty już sztandar Stronictwa Ludowego.

W czasach aktywności zawodowej gościł w Kłęcznie wielu znanych działaczy kultury, literatów i historyków. Jednym z nich był Melchior Wańkowicz, legenda polskiego pisarstwa, publicysta i korespondent wojenny, uczestnik bitwy pod Monte Cassino. Autor powieści i reportaży: Ziele na Kraterze, Na tropach Smętka, Monte Cassino, Walczący Gryf i wielu innych. Od 1939 do 1958 roku przebywał na emigracji w Stanach Zjednoczonych. Po powrocie do kraju zajął się dziennikarstwem i pracą publicystyczną. Z inicjatywy Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich rozpoczął pisanie książki pt. „Walczący Gryf”. Jako osoby znające najlepiej interesujące go wydarzenia polecono Wańkowiczowi dr. Stanisława Gierszewskiego historyka, syna jednego z dowódców partyzantki działającej na terenie Pomorza Gdańskiego, oraz Huberta Krefta znanego na bytowszczyźnie nauczyciela historii, działacza ruchu ludowego, kaszubologa, kronikarza i wspaniałego gawędziarza. Doceniając wiedzę i umiejętności Huberta Krefta, Wańkowicz dedykując mu jedną ze swoich książek nazwał go swoim Cyceronem!

W 1960 roku Melchior Wańkowicz wraz z Hubertem Kreftem złożyli wizytę w Kłęcznie. O tym niezapomnianym

W 1960 roku Melchior Wańkowicz wraz z Hubertem Kreftem złożyli wizytę w Kłęcznie, rodowej posiadłości rodziny Szroeder. O tym niezapomnianym wydarzeniu opowiada pan Stanisław Szroeder



Fot. Archiwum autora

wydarzeniu opowiada pan Stanisław Szroeder: - Przyjechali do mnie niezapowiedziani. Prowadziłem akurat lekcję. Przed szkołą zatrzymał się samochód z którego wysiadł Hubert Kreft oraz nieznan mi mężczyzna. Weszli do klasy. Melchior Wańkowicz - on bowiem był tym nieznanym - z gęstą grzywą siwych włosów, uśmiechnięty i zadowolony przedstawił się prosząc o możliwość rozmowy ze mną. Ubrany

w dziwną, tajemniczą pelerynę, zarzuconą na plecy sprawiał wrażenie zmęczonego wędrowca odwiedzającego nieznane strony. Po zakończeniu lekcji rozpoczęliśmy rozmowę na tematy bezpośrednio interesujące pisarza. Melchior Wańkowicz okazał się człowiekiem bezpośrednim, wyjątkowo sympatycznym, momentami rubasznym, o głębokiej wiedzy, prowadzącym rozmowę w sposób interesujący i dociekliwy.

W mistrzowski sposób potrafił poruszać i uwypuklać ważne dla niego problemy. W wywiadzie udzielonym w 1973 roku Krzysztofowi Kąkolewskiemu dał dowód swojej zachłanności w zdobywaniu wiedzy mówiąc: „Nie ma takich ludzi, którym by się zdarzyło tyle, ile ja potrzebuję”.

- Moje wspomnienia - mówi pan Stanisław - dotyczące historii i wydarzeń z okresu wojny skrzętnie zapisywał zadając pytania sięgające dawnych lat i dotyczących losów mojej rodziny, okoliczności śmierci ojca Antoniego, dziejów rodu Styp - Rekowskich. Opowiadałem - wspomagany przez Huberta Krefta - o losach polskich szkół, które zamykano zaraz po ich uruchomieniu, dzieciach uczących się po kryjomu języka polskiego w izbach wiejskich, o festynie który w 1930 roku odbył się we wsi Osława - Dąbrowa. Zorganizowany przez okoliczne szkoły polskie wywołał wściekłość władz

niemieckich. Do rozpędzenia festynu wystano kilkadziesiąt samochodów z niemieckimi bojówkarzami. W efekcie zdestawowano kilka szkół polskich, zniszczono mapy i obrazy. Melchior Wańkowicz opowiedział mi o swoich spotkaniach z Kazimierą Styp-Rekowską, córką prezesa Oddziału Związku Polaków na regencję Koszalin, która na spotkanie przyniosła przechowywany od lat znak Rodła, Pawłem Borzyszkowskim, Wandą Mrozek-Gliszczyńską – świadkami i uczestnikami ówczesnych wydarzeń. Wizyta Melchiora Wańkowicza wywarła na mnie olbrzymie wrażenie. Niespotykana osobowość, dociekliwość i swoboda wypowiedzi pozostawiły we mnie niezatarty ślad. Byłem szczęśliwy i dumny, że opowiedziane dzieje mojej rodziny zostaną zapisane i w formie książkowej znajdą się na półkach bibliotek oraz zbiorach miłośników historii.

Książka zatytułowana „Walczący Gryf” przechowywana przez pana Stanisława w domowej bibliotece jest jednym z najcenniejszych, bogato ilustrowanych dokumentów obrazujących wydarzenia z lat walki o polską szkołę na Pomorzu. Wydana została w nakładzie 20 tys. egzemplarzy w 1963 roku przez wydawnictwo „Czytelnik” w Warszawie.

Andrzej Szczepanik, Bytów

dotyk świadomości



Opisanie tzw. wielkiej osobowości zawsze nastrocza trudności. Problem polega na roztrząsaniu, co danego człowieka wyniosło na wyżyny. Może tu chodzić o cechy charakteru, czy uzdolnienia, a może o jedno i o drugie. Wiadomo, żeby odnieść w życiu spektakularny sukces potrzebne są tak zdolności, jak i praca nad nimi

Darma (gdyż, tak się nazywał, a właściwie tym pseudonimem się przedstawiał) był z pochodzenia Hindusem. Urodził się w Kalkucie, gdzie dorastał, uczył się, a potem studiował filozofię. Jego rodzina nie była dobrze sytuowana, dlatego Darma musiał często dorywczo pracować. Gdyby nie był geniuszem – i to w sensie dosłownym – to prawdopodobnie nie poradziłby sobie z nauką. Z wyglądu nie przedstawiał się okazale. Posiadał drobną budowę ciała, a do tego miał delikatne rysy twarzy, tam znajdowały się duże, brązowe oczy. Posiadał długie, czarne włosy, które spinał ze sobą z tyłu głowy. Jego nos sprawiał wrażenie także subtelnego, a jego usta... (wygląd nie jest tu aż tak ważny).

Kiedy zaczął chodzić do szkoły średniej związał się z hinduskim filozofem Śri Yuktezwarem, na tzw. praktyki duchowe. Yuktezwara był charyzmatycznym starszym panem, który traktował Darmę jak syna. Jednak z drugiej strony był w stosunku do niego surowy, wymagający i w niczym mu niepobłażający. Dla Darmy praktyki duchowe nie były rozrywką, a wręcz odwrotnie – ciężką harówką. Wielokrotnie wątpił czy przy swoim mistrzu zdoła ukończyć kurs. Mimo, że był geniuszem postępy robił powoli, ale na szczęście systematycznie. Gdy był u kresu wytrzymałości, wówczas Yuktezwara potrafił go zmotywować. Często mówił: - Im więcej łez w Aszarmie, tym mniej potu i stresów w życiu.

I miał rację.

Młody chłopak po latach był wdzięczny swojemu nauczycielowi za poświęcony mu czas i wysiłek. Praktyki duchowe spowodowały, że Darma rozwinął swoją intuicję, dzięki której mógł (jeśli chciał) przenikać umysły innych ludzi. Mógł także przewidywać przyszłe zdarzenia i robić wiele innych rzeczy, które uchodzą za niewiarygodne. Jednak najważniejszą lekcją jaką otrzymał – to fakt panowania nad uczuciami. Będąc osobą wrażliwą, a może i nadwrażliwą miał kłopoty z wyrażaniem siebie. Czasem się złościł, innym razem czuł przygnębienie, wskutek czego izolował się od innych ludzi – zupełnie ich nie rozumiejąc.

Yuktezwara chcąc pomóc Darmie zrobił mu „emocjonalną burzę”, po której chłopak rozwinął w sobie współczucie dla wszelkiego stworzenia. Jego nastrój przestał być zależny od okoliczności, opinii innych ludzi, swoich pragnień, warunków bytowych.

* * *

Rozstanie z mistrzem przebiegało w dramatycznej atmosferze. Darma nie chcąc opuścić Aszramu zapierał się „rękoma i nogami”. Jednak na próżno. Starszy, charyzmatyczny pan nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień i tłumaczeń. Kazał się pakować i wyjść za drzwi. Po latach chłopak wspominał: - Teraz wiem czemu mistrz tak postąpił, ale wówczas tego nie rozumiałem. Na tamten czas mistrz wydawał mi się bezduszny.

Ostatnie słowa, czyli pożegnanie

Po opuszczeniu Aszramu, Darma nie wiedział co ze sobą począć. Zupełnie brakowało mu pomysłu na życie. Czuł pustkę i smutek. Kiedy trochę doszedł do siebie postanowił ruszyć w nieznaną. Nie obierając jakiegoś konkretnego kierunku i celu włączył się po całych Indiach. W tych jakby mistycznych podróżach odwiedzał duże miasta, wioski, ludzi mieszkających na uboczu, slumsy, ale także ludzi bogatych. Tam gdzie się pojawiał zawsze budził sensację. Był młody, uduchowiony, posiadał dużą wiedzę. Ludzie Ignęli do niego – niczym do świętego. On natomiast próbował ich podnieść na duchu. Nigdy nie demonstrował żadnych „fakirskich sztuczek”, żeby swoich wielbicieli ze sobą nie wiązać. Bardzo nie odpowiadała mu rola „autorytetu”.

- Jakim prawem mam tych ludzi pouczać – pytał sam siebie – w czym oni są gorsi ode mnie? Gdybym się urodził w tej wiosce, pewnie bym żył jak oni – konkludował. Nękanie wątpliwościami postanowił wrócić do Kalkuty. Miał nadzieję, że spotka tam swojego mistrza. Był przekonany, że jego mistrz wskaże mu życiowy cel.

Po przybyciu do swojego rodzinnego miasta spotkał mistrza, ale „nie swojego”. Jednak człowiek ten udzielił mu cennego pouczenia.

- Coś cię trapi? – powiedział do Darmy.

- Nie, a właściwie... - rzekł Darma.

- Co, całe życie chciałbyś być uczniem Yuktezwara? Ja pamiętam czasy kiedy chodziłeś ze swoim mistrzem po Kalkucie. Teraz widzę cię przygnębionego, pełnego wątpliwości i rozterek. Musisz wydorosnąć! Jesteś tak jak ja mistrzem. Bycie mistrzem to też sztuka. Powiem więcej – to zobowiązanie między tobą, Absolutem i ludźmi potrzebującymi pomocy.

Darma słysząc te słowa wpadł w szok. Z wrażenia aż zaniemówił. Jego duże oczy zrobiły się zupełnie wielkie i nieruchomo spoglądały na trzydziestoparoletniego człowieka. Po tych słowach coś się w chłopaku zmieniło. Raptem zrozumiał co chciałby robić w życiu. Wcześniej bał się kogoś o tym mówić, a nawet uświadamiać.

- Jadę za granicę! – obwieścił triumfalnie Darma.

- Gdzie? – zapytał trzydziestoparolatek.

- Do Polski!!

- Tam! Przecież to na końcu świata! Można wiedzieć po co?

- Nie na końcu świata, tylko w Europie.

- Widzisz, ja podobnie jak ty nie popieram w naszym

kraju budowania świątyń chrześcijańskich. Z drugiej jednak strony chciałbym zgłębić tę religię. Polska natomiast kojarzy mi się z krajem typowo chrześcijańskim. Może dlatego, że Papię był Polakiem. Będąc tam na miejscu, wśród chrześcijan mógłbym lepiej zrozumieć to wyznanie. Uważam, że religie powinny ludzi jednoczyć, a nie dzielić! Chciałbym działać na rzecz zbliżenia naszej religii i chrześcijańskiej.

Po owocnej dla Darmy rozmowie obaj młodzieńcy podali sobie ręce na pożegnanie, po czym się rozeszli.

Na polskiej ziemi

Po przylocie do Polski Hinduś zorientował się szybko, że nie jest to „kraj mlekiem i miodem płynący”. Zobaczył dobrze mu znane widoki, czyli pijanych biedaków na ulicach, naćpanych narkomanów na dworcach, bogaczy chcących się jeszcze bardziej wzbogacić, a co gorsze – neofaszystów – nazywanych potocznie skin headami. Natomiast społeczeństwo wydało mu się sfrustrowane, gdzie jeden nie cierpi drugiego.

- Jeśli to są chrześcijanie, to ja jestem poganin! – myślał z uporem – Aż dziw bierze, że z tego kraju pochodzi tak zacny



człowiek jak Jan Paweł II. Zupełnie tego nie rozumiem.

Około południa postanowił wrócić do schroniska dla bezdomnych – gdzie mieszkał. Mówiąc szczerze był głodny, a o tej porze podawano tam obiad. Nie chcąc się spóźnić przyszedł przed czasem. Życie w schronisku przypominało mu trochę Aszram, więc dobrze tam się czuł. Nie musiał się o nic martwić. Jedzenie zawsze podano, wolne wyjścia na miasto były, umyć i wykapać też się było gdzie. Jedyne obowiązki jakie mieli bezdomni to: sprzątanie schroniska, pielęgnowanie przydomowego ogródka, oraz wydawanie posiłków (tylko osoby dyżurujące). Dla Darmy taka dyscyplina – to praktycznie żadna.

Któregoś dnia zawołał Darmę kierownik schroniska i rzekł krótko: - Jeśli chcesz dalej u nas mieszkać musisz podjąć pracę. Jeśli nie, będę musiał cię skreślić z listy mieszkańców.

- Ja szanuję zasady tu obowiązujące i postaram się znaleźć sobie pracę.

Znalezienie pracy nie nastęrczało mu wiele problemów, ponieważ był opanowany, spokojny, emanował chłodem, który gasił emocję drugiego człowieka. Należał do osób wyciszonych. To wszystko czyniło go wiarygodnym w oczach pracodawcy. Na pytania odpowiadał krótko, rzeczowo i nigdy nie kłamiąc, co również miało niebagatelne znaczenie. I tak

Darma został sprzedawcą garniturów na stoisku w Centrum Handlowym „Zrzeszenie Kupieckie”.

Feralna niedziela, czyli przemiana duchowa Darmy

Zjadłszy obiad, Hindus postanowił uciąć sobie godzinę relaksu. Położył się wygodnie na łóżku i zamknął oczy. Kiedy tak leżał, powoli odizolowywał się od otoczenia, czyli sąsiadów z pokoju, oraz od innych odgłosów pojawiających się w schronisku. Był szczęśliwy, że to niedziela i może trochę się odprężyć, odpocząć. Czasami bywało gorzej. Musiał pracować w dni „wolne od pracy”. Jednak nie narzekał na robotę, gdyż uważał nawet najmniejszą pracę za wartościową i potrzebną. Kiedy już bardzo „pogłębił relaks” poczuł coś dziwnego. W jego intuicji pojawił się „jakby” niepokój. Na początku próbował z nim walczyć, lecz na próżno. Nie mogąc pokonać zaczął go obserwować. Nagle odczuł jak owa tajemnicza siła nakazuje mu wstać i ruszać w drogę. Darma jednak sam już nie wiedział gdzie ma iść i po co? Szybko poderwał się jak oparzony stając na równe nogi. W pośpiechu założył buty i palto, po czym prawie biegnąc opuścił schronisko. Zwolnił, jedynie przed gabinetem opiekunów, żeby poinformować ich o swoim wyjściu. Gdy znalazł się na dworze ruszył w teren. Szedł i szedł i sam nie wiedział dokąd. Przechodził przez duże ulice, małe uliczki, place zabaw dla dzieci, odwiedzał blokowiska, a kresu jego wędrówki nie było końca. Jednak Darma się tym nie zniechęcał i z jakimś maniackalnym uporem kontynuował swój marsz.

Powoli nastawał zmierzch, robiło się szaro. W mieście poczęto zapalać latarnie uliczne. Chłopak spojrzał przed siebie. Jego wzrok zatrzymał się na oświetlonym moście. Z niedowierzaniem spojrzał po raz drugi. Na krawędzi mostu stał człowiek, starszy mężczyzna, który najwyraźniej chciał w ten sposób rozwiązać swoje problemy.

- Niewiarygodne! – pomyślał i wówczas stała się rzecz niezwykła. Uczucie niepokoju go opuściło, ale jednocześnie zalał go gorący pot. Wiedział, że nadchodzi godzina próby. Czy prosta zadaniu? Czy pokona śmierć?

- Gdyby był teraz ze mną tutaj mój mistrz - pomyślał – wiedziałby co robić! Jednak chwilę później pomyślał znów: - Tu nie ma czasu na zastanawianie, trzeba działać! Młodziwiec wolnym krokiem ruszył w stronę mostu. Modląc się w duchu, żeby czasem samobójca nie skoczył. W końcu człowiek stojący na moście zauważył „podchody” Darmy i krzyknął: - Stój, bo skoczysz!!!

- Zawsze zdążysz skoczyć! – rzekł chłopak.

- Ja nie żartuję!!!

- Ja też nie! – kontynuował. – Zejdź i pogadamy!

- Nie!!! – powiedział stanowczo starszy człowiek. Po chwili samobójca wyczuł jak Darma obdarza go współczuciem z jakim wcześniej nie miał do czynienia. Do tego wszystkiego czuł emanujący spokój ducha. Chłopak wydał mu się przyjaźnie nastawiony. Te uczucia podziały na samobójcę niczym zimny prysznic. Postanowił zejść z mostu i podejść do Hinduśa.

- Nazywam się Darma.

- Michał – odparł. – Jesteś policyjnym psychologiem? – dodał.

- Nie.

- A kim?

- Kimś w rodzaju przechodnia. Może siądziemy? – zaproponował ratujący życie.

- Dobrze.

Następie oboje usiedli na trawie. Pan Michał czując potrzebę zwierzenia się zaczął streszczać całe swoje życie. Opowiadał o swoich największych triumfach, jak również o

porażkach. Snując swoją opowieść dotarł do zdarzeń, które zrodziły pragnienie śmierci. Powodem samobójstwa miało być dyscyplinarne zwolnienie z dobrze płatnej pracy, na kierowniczym stanowisku. Pan Michał zdefraudował dużą sumę pieniędzy, okradając swoją firmę. Szef firmy (do niedawna przyjaciel Michała) złożył papiery do sądu chcąc nieuczciwego współnika wsadzić za kratki, a przy okazji odzyskać pieniądze.

- Robiłem to dla rodziny!!! – płacząc mówił Michał. – Chciałem zdobyć pieniądze na otwarcie własnej firmy. Nie chciałem dłużej pracować dla tego dusigrosza (szefa). Darma bardzo uważnie wysłuchał swojego rozmówcę, po czym rzekł: - I to jest twój problem, jeśli dobrze rozumiem?

Michał zdębiał z wrażenia i wykrztusił z siebie: - Ja nie chcę iść do więzienia! Co powiem matce, żonie i dzieciom!?

- Pewnie prawdę. Ludzie mają gorsze problemy niż pan.

- Czy jest coś gorszego od więzienia?

- Tak! Wózek inwalidzki, powolne umieranie na raka w hospicjum, ciężka choroba psychiczna, paraliż i jeszcze mam wymyślać...?

- Nie!

- Pana problem tkwi gdzie indziej. Nie umie pan rozwiązywać problemów.

- Ja!? – zdenerwował się starszy człowiek.

- Tak. Pozwoli pan, że coś panu powiem. Proszę wyobrazić sobie dużą, monumentalną rzeźbę, np. o wysokości dziesięciu metrów. Jeśli stanie pan u jej podnóża, rzeźba na pewno przytłoczy pana swoimi rozmiarami, ale kiedy będzie pan sprytny i spojrzy na rzeźbę z dystansu, czyli z pewnej odległości, wówczas monument wyda się całkiem mały. Będzie sprawiał wrażenie przyjaznego dla podziwiającej go osoby. Tak więc panie Michale proszę nabrać odpowiedniego dystansu do swojego problemu, a nawet się do niego uśmiechnąć. Z czasem wszystko pewnie wróci do normy, a może pana życie ulegnie całkowitej przemianie. Skok z kolejowego mostu na pewno nic nie załatwi. Pana śmierć sprowadziłaby na rodzinę tylko smutek, przerażenie oraz przygnębienie. Dopóki pan żyje, dopóty może pan rodzinie pomagać. Nawet po więzieniu – o ile do tego dojdzie.

Michał słysząc słowa filozofa popadł w ostupienie. Nie wiedział co powiedzieć.

Ostatnie pouczenie

W toku dalszej dyskusji pan Michał wyznał, że ma urazę do Boga. Jego zdaniem Bóg karał go, ponieważ on nie chodził do kościoła, nie modlił się w domu i generalnie mówiąc żył nie po chrześcijańsku.

- Czy spotkałeś kiedyś Boga Żywego? – zapytał Darma.

- Nie rozumiem... - odparł rozmówca i dodał: – Biblię znam, gdyż czasem kolega mi czytał.

- W Świętych Księgach „Boga Żywego” nie znajdziesz! To jedynie słowa. Czytanie Świętych Ksiąg to bardziej ćwiczenie intelektu i wyobraźni niż poważne poszukiwania. Jeśli jesteś dobrym intelektualistą, to bez problemu znajdziesz nieścisłości w tekście (nielogiczności). To może spowodować, że odwrócisz się od Świętej Księgi i w konsekwencji nigdy nie zaczniesz poszukiwań. Podobnie będzie jeśli nie zrozumiesz Świętej Księgi lub jeśli bezgranicznie się nią zachwycisz. Zachwyt może wywołać fanatyzm, dogmatyzm i przekonanie o wyższości własnego wyznania. Jeśli chcesz na serio wejść na duchową ścieżkę i zacząć poszukiwania, to zapomnij o całej reszcie. Przepraszam! Pamiętaj jedynie, że Święta Księga i Bóg nie są tym samym. Kiedyś może będzie Ci dane to zrozumieć.

- Jesteś heretykiem! – jęknął Michał.

- Spotkanie „Boga Żywego” spowoduje totalne zrozumienie twoich problemów, łącznie z tak małostkowym jak karanie

ciebie przez Boga.

- Niedługo zaczniesz nawoływać do niszczenia „Świętych Ksiąg” – rzekł Michał.

- Gdybym miał pewność, że masz szansę zakończyć swoje poszukiwania duchowe pozytywnie, to pierwszy spaliłbym Księgę, żeby cię nie rozpraszała jej treść. Po co niepotrzebnie nadkładać drogi?

- A gdzie szukać, jak mówisz: „Żywego Boga”?

- Na to pytanie musisz sobie sam odpowiedzieć.

- Cwaniak z ciebie – powiedział mężczyzna.

- A no, cwaniak – zakończył Darma, a następnie wstał z ziemi, co miało oznaczać koniec sesji.

Jednak pan Michał siedział dalej wsłuchując się w ciszę. Błędnym wzrokiem patrzył gdzieś przed siebie. Hinduś czuł, że w stosunku do Michała potrzebna będzie poważniejsza interwencja. Nagle chłopak dotknął męczyzną ręką w okolicach karku i przez kilka sekund ją przytrzymał. Pan Michał poczuł jakby mu ktoś dodał skrzydeł. Miał nawet złudzenie oderwania się od ziemi. Jednym szybkim spojrzeniem sprawdził, co się stało.

- Na szczęście nic! – stwierdził. – Tak jak siedziałem, tak siedzę.

Po krótkiej chwili wszystko wróciło do normy, jednak on (Michał) odczuł coś w rodzaju oczyszczenia duchowego. Został uwolniony od umownych ciężarów, które nosił na swych barkach. Wróciła do niego odwaga i poczucie mocy. Już przyszłość go nie przerażała. Mężczyzna pragnął podziękować Darmie za udzieloną pomoc, ale ku zaskoczeniu zauważył, że jest zupełnie sam.

- Po Darnie ani śladu... Kiedy on się ulotnił? – pytał sam siebie. – Nic z tego nie rozumiem...

Po zdarzeniu z niedoszłym samobójcą w chłopaku zaszły duże przeobrażenia duchowe. Darma zrozumiał, że bycie mistrzem to powołanie, a nie sucha wiedza, czy fakirskie sztuczki. To niespisana umowa między nim, Absolutem i potrzebującymi go ludźmi.

Artur Krużycki

Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie

przystanek lub... i dostałbym w... ryj...



Zobowiązany jestem dopisać na wstępie, że tytułowe słowa są częścią ostatniej kwestii, którą wygłosił do publiczności Jan Kłosowski chowając się za sceniczną kurtyną, po występie

Rzecz dotyczy kultowego skeczu o usługodawcy i usługobiorcy w warsztacie instalacyjno-hydraulicznym, wykonanego brawurowo przez kultowych aktorów, kultowego kabaretu Dudek: majstra Kobusza, ucznia Gotasa i niecierpliwego

klienta Michnikowskiego. Skecz kończy się łomotem, który sprawił klientowi gorliwy praktykant i słowami majstra ostrzegającego by się nie śmiać, bo można dostać... w ryj.

Kabaretową stylistykę chciałbym jednak przenieść, nie, bynajmniej, na sferę usługową, a na sferę odczuć jakie towarzyszyły mi jako uczestnikowi pewnego epizodu. Otóż niedawno, jak nigdy dotąd instynkt podpowiadał mi, że już już, w każdej chwili, dostanę straszne bicie za coś co sam sprokurowałem w publicznym środku lokomocji, tj. autobusie PKS. Wcale nie dlatego, że może śmiałem się do rozpuku na trasie, z pojazdu, kierowcy, pasażerów, bezmyślnie, zakłócałem spokój, czy było mi do śmiechu, jak kto woli, było wręcz odwrotnie. Jechałem skupiony, w szczególnej misji jako opiekun osoby niepełnosprawnej, choć formalnie określanej jako osoba towarzysząca osobie wymagającej opieki. Niemalże od roku występując w takiej roli wsiadłem do drugiego porannego i ostatniego autobusu do Słupska przez Kwakowo. Wykupiłem dwa bilety do miasta tyle, że okazałem kierowcy właściwą legitymację, którą dokładnie obejrzał, po czym wystukał w kasie dane i podał mi bilety. Nic w tym nie było dziwnego, w końcu bilety są wysoce ulgowe a kierowca musi się upewnić, że pasażer nie naciąga go na nieuprawnioną jazdę. Siadłem tuż za kierowcą odgradzony od niego płócienną przesłoną, a mój partner obok, na pierwszym siedzeniu.

Kierowcy często się zmieniają, tego nawet z widzenia nie znałem, z tyłu, zza pleców obserwowałem go. Pomyślałem sobie młody i ostry, jakżeby inaczej: chłop koło trzydziestki, z metr osiemdziesiąt, uda jak telefoniczne słupy, karczycho dzierzące głowę z krótko podstrzyżonymi włosami, typ męski utożsamiany z posturą bramkarza czy ochroniarza. Buczysko.

W którymś momencie na trasie szturchnąłem kierowcę w łokieć i zapytałem czy mógłby zatrzymać się na przystanku koło Lidla. Autobus jadąc planowo Poznańską i Lutostawskiego skręca na Jaracza i przystaje koło ZUS-u na planowym przystanku. To jego normalna marszruta, a przystanek przy Lidlu, tak się domyślałem, służy wyłącznie autobusom miejskim. Podejrzewać należy, że kierowca musi, a przynajmniej powinien respektować taką przynależność przystankową, choć zdarzało mi się korzystać z uprzejmości kierowcy: wsiadłem przed Lidlem.

Są różni kierowcy i różni pasażerowie z różnymi interesami do spełnienia w mieście, mój, a właściwie nasz interes wymagał

dotarcia do poradni lekarskiej na Moniuszki, na określoną godzinę. Mój kierowca właściwie nie zareagował, nie odpowiedział nic, może coś mruknął pod nosem, nie wiem, nie dosłyszałem. Fakt ten przyjąłem za dobrą monetę: autobus zatrzymał się jak zawsze w takiej sytuacji. W końcu, spiesząc się do lekarza na chorym wymuszałem tylko około 200-metrowy spacer do poradni w miejsce 700-metrowego maratonu od przystanku przy ZUS. Obserwowałem ulicę: autobus z prawego pasa jezdni skręcił na lewy, jadąc chwilę łeb w łeb z dużą ciężarówką minął ją i zatrzymał się na światłach, na zielonych ruszył.

Podniosłem się z siedzenia, stanąłem na pomoście tyłem do drzwi. Chwytając za klamkę i gotując się do wyjścia, ze słowami do podopiecznej: wysiadamy, nacisnąłem ją, drzwi się otworzyły. Teraz powinno być: co to się działo, co to się działo... Z prawą dłonią na klamce drzwi i ramieniem przyklejonym do drzwiowego skrzydła straciłem równowagę, siła odśrodkowa wysunęła mnie na zewnątrz i poczułem, że bez wpływu na to co się dzieje bezwiednie wysiadam. Właściwie powinno być: autobus wystawia mnie na zewnątrz. Stojąc stopami na pierwszym stopniu progowym czułem jak dupsko ciągnie mnie w dół, a przyhamowujący pojazd dodatkowo zmieniający pas ruchu, to osuwanie się w dół wspomagał. Kurczowo trzymałem się klamki świadom, że sytuacja już wymknęła się spod jakiegokolwiek kontroli z mojej strony. Kątem oka zobaczyłem, że przysuwa się do mnie maska samochodu osobowego. Chryste pomyślałem, on mnie zaraz odklei od drzwi i wylecę na jezdnię. Jak w powiększeniu widziałem blachę przodu maski samochodu i skrzydło drzwi autobusu, jego dolną krawędź, w najczystszej postaci prasę i gilotyne, narzędzia niszczące, do miażdżenia i cięcia. Tak też się stało, walnąłem plecami o asfalt, a w tym czasie samochód osobowy wolno, wolniutko kompletnie zakrył mi horyzont. Czułem jakieś uderzenia, coś zaczęło we mnie pękać, tracąc świadomość słyszałem jeszcze jakieś krzyki, piszczały hamulce. Bolało i było ciemno, odpływałem w nicość... Tak...

Tej sekwencji czysto wypadkowej nie było, choć mogła być. Było inaczej. Z wrzaskiem kierowcy: zamknij te drzwi, wychylone skrzydło przyciągnąłem do siebie kątem oka widząc po prawej stronie autobusu samochód osobowy, a zamiast zakola przystanku środek pasa – pojazd szykował się do skrętu w ulicę Jaracza. Skonfundowany, słysząc jakieś wyrzaskiwania kierowcy w rodzaju: chcesz żebym dostał

się do kryminału, wycofałem się na siedzenie mówiąc: niech się pan nie wydziera. Nie wiem czy kierowca zauważył, ale gdy autobus podjechał już na swój przypisany przystanek, w momencie zatrzymywania się, drzwi bez żadnej ingerencji zewnętrznej otworzyły się same zapraszając do opuszczenia pojazdu, nie były domknięte. Wysiedliśmy w milczeniu nawet niepodenerwowani incydentem, raczej zmartwieni tym, że czeka nas długa droga od przystanku przez całą Jaracza do końca Moniuszki. Długa droga, co zrozumie tylko ten, któremu wymuszony spacer wywołuje katusze sprawiane każdym kolejnym i kolejnym krokiem.

Upłynęło dopiero parę godzin, kiedy do diagnozy chorobowej lekarza dołożyłem diagnozę dla autobusowego zdarzenia i całą sytuację nazwałem po imieniu: w publicznym środku lokomocji zachowałem się jak wsiowy, nieodpowiedzialny przysłup, który ni stąd ni zowąd podczas jazdy, korzystając z chwilowego zatrzymania się wstaje z siedzenia, podchodzi do drzwi, otwiera je by wysiąść, bo tak mu pasuje. Nic dodać, nic ująć, a jednak jest parę wątków, którym powinno poświęcić się kilka linijek.

Ten pierwszy dotyczy osoby, która nazywana opiekunem osoby wymagającej opieki winna być tak samo opiekuńcza jak odpowiedzialna, a nawet jeszcze bardziej, bo przede wszystkim pełna wyobraźni i myślenia w miejscach publicznych, z oczyma dookoła głowy. Zachowania racjonalne, adekwatne do sytuacji, nawet wymuszonej, to kawałki z kanonów obywatelskiego reagowania nie wymagające komentarza i dajmy sobie z tą częścią spokój. I tak uczymy się na błędach, przynajmniej powinniśmy się uczyć, to jest sprawa prosta i jasna. Gorzej, bo ja kierowałem się imaginacją i wyobrażeniem czegoś co nie mogło mieć miejsca. Przystanek przy Lidlu nigdy nie istniał i nie istnieje nawet dla komunikacji miejskiej, wcześniejszy owszem, ale przy salonie Peugeota przy ul. Lutostawskiego i nie wchodzi w rachubę z racji odległości. Zafundowałem sobie chciejstwo bez pokrycia i to w czystej postaci i za taki nieprzemyślany odruch powinienem dostać straszny łomot.

Suplement: życie nie znosi próżni – powyższe zdarzenie miało swój dalszy ciąg. Świat zwałił mi się na głowę. Kilka tygodni po zdarzeniu moje opiekunstwo zakończyło się, los okazał się bezlitosny, niefaskawy i nieubłagany. Moja podopieczna, życiowa partnerka odeszła...

Czesław Guit, Lubuń

aneta teresieńska



SEN O NAS

Wróciłeś, zabrałeś mnie do domu
A była to gajówka
Dookoła tylko las i jeziora
I ta błoga cisza
Napaliłeś w kominku, a ja
Nalałam wina,
Wpatrywałam się w blask ognia
I ciebie chciałam

Podszedłeś i zacząłeś całować moje włosy
A oczy twoje były przepełnione pożądaniem
Poczułam dreszcze na mym aksamitnym ciele.
Serce waliło, jak oszalałe
Czułam na sobie twój przyspieszony
oddech.

Już północ, księżyc na niebie
Piszę ten list z tęsknoty

Noc otworzyła swe wrota okrywając
Mnie granatowym prześcieradłem
Stoję – nie, idę dalej
Coś mnie pcha w innym kierunku
To serce chłopca, co woła w oddali
Krzyczę!
Biegnę ile sił
Biegnę choć tyle mil
Bo wiem, że warto poświęcić się
I wykrzyknąć – jak kocham Cię!